



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Anna Jagiellonka, Królowa Polska.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

skreślił

Maryan Dubiecki.

Wśród licznej ciżby postaci urastających ponad tłum wydatnych zasługą, uzdolnieniem, talentem pisarskim, chwałą bojową, które upamiętniły swe istnienie w naszym społeczeństwie, stając się dźwignią rozwoju cywilizacji narodu, pospolicie nie spostrzegamy cichych czynników, co mrówczą pracą, cnotą życia, na mniej rozległych horyzontach, dobrze się zasłużyły. Najczęściej są to zasługi niewieście mało znane, należycie nieocenione, zapomniane zasługi serca i myśli niewieściej; nie znajdują one dla siebie miejsca na karcie dziejowej; pióro historyka pomija je, badacz rozwoju cywilizacji niezbyt pilnie też waży je na szali przeznaczeń narodu. Wpatrując się jednak w mroki dni ubiegłych, spostrzegamy przed okiem naszym całe szeregi pracowniczek, którym należy się poczesne miejsce we wdzięcznej, potomnej pamięci. W najniebezpieczniejszych chwilach życia społecznego, w dniach ciężkich utrapień a wielkich przełomów, dłoń niewieścia dźwigała brzemień prac ocalenia; na zgłiszczach zburzonego szczęścia domowego, u spopielałych, bo falą leż załamanych—ognisk rodzinnych, gdzie dłoń mężka, załamana w niemej rozpacz, zaradzić sobie nie mogła lub nie umiała, gdzie na rozległych przestworach męskiego umysłu napróżno szukano dróg ratunku—nasze kobiety zdołały wielokrotnie sprostać trudnym zadaniom... Mileżące, w sobie

zamknięte, a mężne i wielkiego hartu woli, toczyły one drobne, nieustanne walki, pełne wysiłku i zaparcia się siebie, walki na kresach szczęścia domowego, na szlakach obowiązku... Fakta wydobyte z ciemni wieków minionych wskazują, że domowa cnota, w najszerszym znaczeniu pojęta, gościła u nas po wsze czasy w niewieście szeregach społeczeństwa. Na różnych stanowiskach, od stopni tronu, do ubogich strzech słomianych szlacheckiej zagrody, spotykamy niewieście typy dziwnie podniosłe... Trzy „dziewice z Wawelu”—najmłodsze z córek Zygmunta Starego—trzy przedstawicielki wygasającej u nas Dynastji Jagiellońskiej, życiem swem, cnotą domową, miłością rodzinną przyświecają społeczeństwu. Dwie wśród nich—Katarzyna i Zofia—pod obcym niebem dni swe trawia, a trzecia tylko, Anna, najmłodsza z zastępu naszych Jagiellonek, wywiązuje się z zadań życia na ziemi rodzinnej, staje się tej ziemi chlubą, istnieniem swem przedłuża na ćwierć wieku, jeśli nie rzadziej umiłowanej przez naród Dynastji Jagiellońskiej, to w każdym razie przedłuża obyczaj dawny. Ze zgonem Anny Jagiellonki—piszą źródła dziejowe, w latach kończących XVI stulecie, dawny obyczaj został zaniechany... Orzeczenie to pełne znaczenia. Anna Jagiellonka przedstawicielką była swojszczyzny, którą dwór jej świecił, którą tchnęła postać cała tej ostatniej gałązki Rodu Jagiellowego. Dwór jej—to ostatni dwór polski na królewskim zamku... później były u naszych królów różne dwory—niemiecki, włoski, francuzki, mieszany, ale tak rdzennie polskiego, jak otoczenie Anny, już się nigdy nie spotyka aż do końca istnienia jagiellowej spuścizny... do ostatniej karty dziejów... Rey i Kochanowski podnoszą język narodowy do godności mowy piśmienniczej; Anna czyni tożsamo z obyczajem swajskim, który otacza swą opieką, chroni od obcych naleciałości, i za jej sprawą góruje on wśród społeczeństwa, aczkolwiek wpływy pojęć różnower-

nych podmywały go zewsząd, acz zawsześmy chętnie zwracali się ku temu, co obce...

Doniosłość stanowiska Anny Jagiellonki rozumieli współcześni, a Skarga, z którego z ust prawda jedynie płynęła, tak określa owo jej stanowisko... „Byłaś przykładem życia królewskiego i chrześcijańskiego, z ciebie—śmy mieli nie tylko pomoc i uweselenie, ale i zbudowanie.”

Źródła dziejowe poraz pierwszy spotykają Annę u trumny ojca, w dniach kwietniowych 1548 r. Młodość wczesna, dzieciinne lata upłynęły jej zdala od szerszych widowni życia, upłynęły w głębi izb zamku wawelskiego: o latach pierwszych wrażeń, o wpływach, które urabiały jej charakter, mówią nam ubocznie tylko wskazówki. Relacji bezpośrednich z onej doby, mówiących o wychowaniu królewien, nie mamy.

Wpływ matki, wpływ głośniejszy w dziejach Bony, był bez zaprzeczenia; ale nie on głównie oddziaływał na córek wychowanie. Matka nie w jednej mierze obdźwiała uczuciem macierzyńskim wszystkie swe dzieci: syna przekładała nad córki, jemu całe swe serce oddała, córkom przez to zbyt niewiele już uczucia mogła udzielić. Zresztą, w późniejszych latach i od syna oblicze matki, kobiety o mężkim przeważnie charakterze, odwracać się zaczęło, a uwydatnił się egoistyczny charakter tej wielce uzdolnionej kobiety, niepozabawionej niektórych dobrych przymiotów. Lata późniejsze to w dziedzinie uczucia Bony doba zupełnej dla córek obojętności. Pomimo wszakże dziwnego braku serca u matki, córki boleją nad tym stosunkiem rodzinnym, i nie tylko młodsze we łzach toną, gdy matka z lekką myślą je opuszczała, do Włoch się wynosząc ze skarbami; ale nawet najstarsza z nich Izabella, Królowa Węgierska, oddawna już oddalona od gniazda rodzinnego, nie zabacza pisać z pewną goryczą: „Matka nasza, mając się dobrze, opuściła nas pięć

(pięcioro), a ja jednego syna puścić nie chciała".
(¹) Wobec obojętności matki garnęły się córki do ojca, a po jego zgonie do brata, mieniąc siebie „sierotami”. Istnienie matki nie osładza im tego sieroctwa.

W dniach kończących żalobny a nieszczęsny rok zgonu ojca wszystkie trzy królowny—Anna, Katarzyna i Zofia—pisząc do brata i polecając się jego opiece, ani jednym słówkiem nie wspominają o matce, gdyż z jej serca nie płynęły ku nim źródła pociechy. Garną się one do brata, który wprawdzie je kochał, ale zawsze jakieś, to zatrudnienia, to własne troski, to roztargnienia przyczyniają się, iż o siostrach zapomina, bądź nityle, jak należało, pamięta. W późniejszych latach najwięcej na tem zaniedbanii ucierpiała królowna Anna, która właśnie najgorętszym sercem umiłowała całą rodzinę, a więc i owego, zabaczającego o nią, brata.

Za życia ojca, w ostatnich latach jego rządów, trzy tylko wyżej wspomniane królowny były na Wawelu, gdyż najstarsza, Izabella, wyszła już była za mąż; inne dorosły, dojrzały, ale z zamążpójściem szło ciężko. Dla matki los córek obojętną był rzeczą. Niekiedy zalecała synowi, Zygmuntowi Augustowi, aby myślał o wydaniu zamąż siostr, lecz on odpowiadał wówczas matce, iż jej to winą, że los królowien nie ustalony, iż on sam pisywał w tej kwestyi do matki, wskazywał nasywające się projekta; matka wrzekomo przyjmowała wdzięcznie jego projekta, nie jednak nie czyniła w tych sprawach. Zygmunt August wyrzucał to matce z goryczą: „Wasza miłość, jako takowe pisanie wdzięcznie od nas przyjmowała—mówił on—to dobrze pamiętamy... teraz w. m. na legasz, abyśmy się o to starali, a w. m. na on czas nie chciała, gdy czas potem dobrze pogodniejszy był“...²).

Wyrazy królewskie tu przytoczone tyczą się pierwszych dni 1552 r., kiedy w umyśle królowej matki dojrzał już projekt wyjechania ze skarbami do Włoch; chciała ona pozbyć córek i wszelkiej o nie troski.

Cieżkie to były lata dla córek Bony. Miłość ojca, zgrzybiałego i schorzonego starca, już nie opromieniała dni, brat po śmierci swej ukochanej Barbary, ulegał dziwnym zniechęceniom, które po latach miały przejść w zobojętnienie dla siostr, a nawet w jawną niechęć. Z dziedziny uczuć ani jeden jaśniejszy promień ku nim nie spływał.

Wzajemna miłość łącząca siostry była ich jedyną pociechą i mocą w życiu dość samotnem. Po dwudziestu latach, po wielu ciężkich przygodach, najmłodsza wśród nich, Katarzyna, Królowa Szwedzka, tak owe dni, siostrzaną miłością opromienione, wspomina, pisząc do Zofii, ówczesnej Księżny Wolfenbüttelskiej, we trzy miesiące po zgonie brata: „Raczysz przypominać zwykłą, a spólną miłość naszą—pisze Katarzyna do siostry, miłość, którąśmy z młodości swej z sobą mieli, która miłość między nami da-li Bóg, będzie trwała aż do grobu... W. K. M. raczy dobrze pamiętać o tę miłość naszą, gdyśmy z sobą mieszkali, jedna bez drugiej nie szła tam, gdzie jej potrzeba było, ale wszystkie trzy zarazem gwoili jedna drugiej. Taż miłością nieodmienną teraz W. K. M. rada służyć. Panie Boże, mnie i na czem nie ciesz, jeśli się ja najmniej odmieniła od pierwszego przeciwko W. K. M. Moja miłościwa siostr, już ci by to musiało być nie wiem co, żebyśmy się nie mieli miłować: boć jedno nas troje zostało z domu naszego“... I rzeczywiście, cement wzajemnej miłości trwałym był wśród nich, chociaż późniejsze oddalenie, i cierpkie doświadczenia życiowe i zmiany wielkie losu, i interessa wspólne, na niejedną próbę narażały ów rodzinny związek.

Rok 1556 wpłynął stanowczo na ich losy. Matka odjechała do Włoch, a na krótki przedtem Zofia w 35 roku życia poślubiła drugorzędne książętko niemieckie, starca liczącego 67 lat, ks. Henryka Wolfenbüttel. Pasierb, którego przy-

braną matką się stała, był prawie w jej wieku... Odjazd matki do Włoch i siostry, po zamążpójściu do Niemiec, bolesną próżnię wytworzył w życiu pozostałych dwóch Jagiellonek. Matka nie wylała ani jednej łzy przy rozstaniu się z córkami. Było to przedmiotem podziwu dla współczesnych, którzy tak o fakcie pożegnania się Bony z córkami pisali: „Pożegnała dwie panienki, gorzkimi łzami oblewając się, nie dawszy im tylko po jednym pierścieniu, lzy nie wypuściwszy sama stara z oczu“...

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JAN MATEJKO.

(Dalszy ciąg.)

Taka tylko sztuka, która formy swoje sama pierwszej intelektualnie sobie wytwarza, zanim je w materji ukaże, może mieć dostojność, trwałość i potęgę prawdziwego pięknotwórstwa. Wprzód potrzeba mieć niematerialne ideały głów i postaci, a potem dopiero głowy te i postaci, czy-to na płótno czy w marmur wprowadzać. Wtedy tylko jest się rzeczywiście twórczym, jest się poetą; przeciwnie, biorąc żywceem to co jest i jak jest, zostaje się tylko artystą, robotnikiem od rzeczy, bardzo delikatnych zapewne i trudnych, ale zawsze tylko robotnikiem. Cała odległość pomiędzy sztuką twórczą a naśladowczą w tem się robotnictwie wyraża. Sztuka musi myśleć i czuć, tak, jak myśli i czuje sam człowiek; a czyliż się zdobędzie na myślenie i czucie, jeśli na ślepo jedynie tylko zewnętrzną zjawisk odtwarzać zechce? Gdy kiedyś fotografia postąpi tak, że będzie mogła chwytać i prawdziwe barwy przedmiotów—gdzież będzie różnica pomiędzy fotografią a sztuką? czy nie w samej tylko sztuczności, pokazującej, czego-to ręka ludzka dokazać nie może? W myśl pięknej definicyi Bacona, w sztuce człowiek nieustannie sam do natury dodawać się musi, nie tylko wszakże przez pędzel swój lub dłuto, ale i przez myśl twórczą. W takiej tylko sztuce można mówić o pomysłach, o kompozycyi o rozumnym układzie. W przedmiotach chwytanych na oślep nie znajdzie dla siebie miejsca nawet to, co się nazywa harmonią barw, okrągłością kształtów, równowagą kompozycyi: nawet artystyczny rozum pęta na sobie czuć musi. Mając do walczenia z modnym dziś przesądem naturalizmu, wiemy dobrze komu rzucamy rękawicę: właśnie dla tego, że przeciwnik jest silnym, stajemy do rozprawy. Wołamy na sztukę, aby dobrowolnie na poziomy nie schodziła, aby pamiętała o posłannictwie swoim: podnoszenia dusz, pobudzania umysłów; pragnęlibyśmy ją widzieć zdalą od grzęzawisk małości, ubiegającą się, nie o wywoływanie podziwu przez sztuczność, ale o sprowadzanie wzruszeń przez poetyczne odczucie. Zdaje się nam, że sprawa broniona przez nas jest sprawą zdrowego rozsądku, zdrowych pojęć o zadaniach wszelkich czynów umysłowych na świecie; a takim właśnie czynem jest sztuka.

Czynami umysłowymi są obrazy i rysunki Matejki. Nic u niego bezmyślnie z natury nie wdziera się w sztukę. Natura jest, ale shołdowana przez myśl. Cała naturalna matematyka sztuki z ograniczeniem, które stanowi skazę na tym wielkim talencie, gra w pięknotwórstwie Matejki rolę regulatora, nieprzekupionego adwokata prawdy zewnętrznej, której prawa wszystko, co jest—w sztuce, literaturze twórczej, krytyce, publicystyce i humanologii, w nauce ścisłej, — szanować musi, jeśli wogóle istnieć ma.

Jak twórczym artystom wieku Odrodzenia, tak i Matejce natura wyświadcza jeszcze jedną przysługę: pomaga artystycznym jego ideałom do uźwężnienia się w materji. Tu występuje zadanie modelu u Matejki, inne, niż u przedstawicieli modnego dziś prądu. On tylko zbiera z modelu te rysy, których potrzebuje; oni biorą żywceem model cały, jak jest. Matejko może się bez modelu

obyć: ludzie kierunku naturalistycznego i zwyczajni rzemieślnicy w sztuce,—bez modelu są zgubieni. W doskonałym artyzmie, posiadającym ową matematykę sztuki na stopniu najwyższym, o jakim pomyśleć można,—pamięć i wiedza powinny mieć w sobie gotową całą tę kaznistykę ciałości, ruchu i oświecenia, jaką właśnie z modeli zbieramy: ale tak doskonały artyzm jest niedościgłym ideałem; lata całe znojących trudów pożartyby myśl twórczą i energią, gdyby artysta chciał go doścignąć: byłaby wiedza i pamięć, nie byłoby już siły twórczej, rozpędu, natchnienia. Dlatego posiłkowanie się modelem jest dla artysty, nawet najgenialniejszego, niezbędne, ale tylko *posiłkowanie się*, dopomaganie twórczości, trzymanie jej w korbach prawdy zewnętrznej, nadawanie kształtów pomysłom, rwącym się niespokojnie z pod ciemnych sklepów ducha. Inaczej nie możemy sobie wyobrazić stosunku talentu Matejki do natury. Właśnie ta sztuka, tak rdzennie samoistna, tak przejęta poezją dusz ludzkich, nie mogłaby się wytworzyć, gdyby w samej genezie swojej naśladowczą tylko była, gdyby w odtwarzaniu całej tej tak świetnej, zjawiskowości nie dążyła jedynie do prawdopodobieństwa,—dążenie do prawdy zostawiając dla stroiny wewnętrznej duchowej, dla tej głębokości psychologicznej, która Matejkę obok Shakespear'a stawia. Ambicyą jego nie jest odtworzenie aksamitu, choć nieraz ręka mimowoli sięga, aby pochwycić, ale ukazanie duszy w rysach oblicza, w całokształcie i ruchach postaci. To jego ambicya: to jego sztuka.

W sztuce wytwarzania postaci i oblicz ludzkich doszedł Matejko do mistrzostwa. Nazywając go mistrzem, mamy na myśli więcej jego ołówek, niż jego pędzel. Wobec tej ogromnej zdolności, z jaką artysta w postaciach i obliczach ludzkich stawia nam przed oczy żywe indywidua, poruszane i oświecane z wewnątrz, wstrząsane jakby iskrą elektryczną woli—zapominamy o realizmie kolorystycznym jego pędzla, o tej wyrazistości i sile, z jaką nam ukazuje zewnątrz powłokę zjawisk. W sztuce charakteru Matejko nie ma równego sobie wśród współczesnych; bo chociaż są zapewne artyści niepospolici w charakterystyce i umiejący równie dobrze jak on rysami oddawać życie duszy jednochwilowe, niema absolutnie żadnego dziś w Europie, któryby taką mnogość i w różnorodności bogactwo mógł przed trybunał krytyki, choćby najsurowszej, na świadectwo swej wyższości wyprowadzić. Zbierzmy tylko z jego płócien te wszystkie charakterystyki od pierwszej do ostatniej chwili powstałe; weźmy te głowy rysowane tylko ołówkiem, a odtwarzane z zadziwiającą intuicyą: kogo nie zadziwi, nie podbije ta prawdziwie szekspirowska genialność, w szerz czy w głębi zarówno potężna! Głupi lekki Francuz znajdzie w „Grunwaldzie“ barbarzyństwo; człowiek myślący powróci zawsze do tego obrazu, do tych wyrazistych twarzy, do dwóch których nigdy dobrać się nie zdoła, tak są głębokie i głębokością swoją przyciągające. Chciałoby się rozmawiać z niemi, i jak ptaki dziobały winogrona Greka, tak tu żywa inteligencya widzi się wobec równej sobie siły, pragnie się dobrać do żywej duszy, której doskonałą symbolikę ma przed sobą. Już w najdawniejszym obrazie Matejki, z tych, które pozostaną nazawsze w sztuce powszechnej, w *Kazaniu Skargi*, charakterystyka jest doskonałą; a zważywszy, że przez dwadzieścia parę lat ta twórcza moc w artyście jeszcze się wykształciła. *Stańczyk* sam przez się już wystarcza na legitymację geniuszu—on i Skarga i Joanna w obrazie *Wjazdu do Reims*. Trzech tych oblicz nie podobna zapomnieć; czepiają się one wyobraźni i nie dają jej spokoju. Tylko ograniczona pedanterya, warcholstwo artystyczne lub zawiść, mogą nie okazać gorącego uznania wobec tej szlachetności, tej głębi rozumu, tej tkliwości uczucia rozżarzonego w smutek, którego nie już nie stłumi.

Takie malarstwo—to poezya!...

Realizm pędzla matejkowskiego ma źródło swoje w psychologicznej głębi jego utworów. Myśl twórcza potrzebując dla zadowolenia siebie jak najpotężniejszego wyrazu, pobudza techniczne już siły malarstwa do jaknajwiększego współdzia-

1) List kr. Izabelli, ogłosz. w „Jagiellonkach”, Przeźdź, T. II.

2) Listy oryg. Zygmunta Augusta, wyd. Lachowicza.

ania i ztąd ta okwitość i wyrazistość rysów, ta szorstkość powierzchni, ta szczegółowość stanowiąca realizmu czysto-artystycznego znamienne piętno. Niekiedy zdaje się jakby artysta nie malował, ale rzeźbił swym pędzlem. Oblicza wyglądają jakby poorane, braknie im najzewnętrznieszej powłoki z epidermy, braknie tej, że tak powiemy emalii zjawiskowej, jaką na powierzchni przedmiotów oko chwytac zwykło, znajdując się zawsze w pewnym od nich oddaleniu. Doskonałość martwej natury, przepych strojów, bujność kolorystyczna dają lepiej jeszcze od sposobu malowania oblicz poznać realistyczną pędzla: i one to głównie podbijają wzrok, a dla dusz płytkich największy mają powab i wymowność. Nic mdego, nikłego, nic udanego tylko, w tem malarstwie nie znajdziesz. Kiedy w *Grunwaldzie* wierzchołki krzyżactwa wała się do stóp polskich—zaciętość boju wyraża się gryzieniem ręki wroga. Żrą się ludzie i konie. Nawet brak charakteru musi mieć, jak u Shakespeare'a, swój charakter. Niepodobna tutaj wnikać w szczegóły. Kiedyś, gdy z dzisiejszych naturalistów, impressjonistów, realistów i wszelkich innych *ejusdem generis* nie zostaną nawet kosteczki, płótna Matejki będą przedmiotem studyów estetycznych, w których krytyka malarska i psychologia zarówno znajdą dla siebie niewyczerpane prawie zasoby do spostrzeżeń, zestawień i prawd cennych dla teorii sztuki wogóle. Każdy obraz Matejki przy nauce malarstwa może być istnym nauczycielem, choć może w każdym, jak zresztą w największych arcydziełach, znajdują się błędy. Są całe grupy akademickie, akademie, w *Skardze*, w *Batorym*, w *Unii*, w *Grunwaldzie*, w *Holdzie*, we *Wjeździe Joanny d'Arc*.

(Dokończenie nastąpi).

EDGAR ALLAN POE.

ANNABEL LEE¹⁾.

przełożył Miriam.

Wiele, o wiele już temu lat,
Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi,
Żył dziewczyna jak wonny kwiat,
Imię jej było Annabel Lee.
Jam w tem dziewczęciu miał cały świat,
A sam znów światem byłem jej.

Oboje dziećmi byliśmy tam
Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi;
Lecz jak my się kochali, snadź nie kocha Bóg sam,
Ja i moja Annabel Lee,
Taką miłością, że z niebieskich bram
Seraf zazdrościł mnie i jej.

I to był powód, że, ach! dawno już,
Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi,
Wiatr zawił z chmury i pęd wściekły burz
Uniósł piękną Annabel Lee;
Że jej niebieski krewny, anioł-stróż,
Przyszedł i zabrał ją mi,
Aby ją zamknąć w grób na wieki już—
Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi.

Anioł, co w pół tak szczęśliwe wiódł dnie,
Zazdrościł szczęścia mnie i jej—
Tak! to był powód (jak każdy to wie
Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi)
Że wiatr przeleciał w ciemnej nocnej mgle,
Porywając, zabijając moją Annabel Lee.

Lecz uczuć naszych nie przemogło nic,

I wielu starszych ode mnie i jej,

Wielu mądrzejszych—kochało snadź mniej;

Ani niebieskie duchy jasnych lic,

Ani szatani pod morzem, co grzmi,

Nie oddała śmierci falą mej duszy od jej—

Mojej pięknej Annabel Lee.

Księżyc błysnie z za mgły—wnet oblegną mnie sny

O mej pięknej Annabel Lee;

Gwiazd rozświecą się skry—z nich mi jasny wzrok

[łśni

Mojej pięknej Annabel Lee.

Co noc czuwałam tak tam, przy jej boku wciąż

[trwam—

Mej błogiej, mej drogiej, którą jedną tu znam—

Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi,

Na jej grobie nad morzem, co grzmi.

ZABIEGI PANA PIOTRA.

POWIEŚĆ

SEWERA.

(Dalszy ciąg).

W obszernej pracowni zawieszonych makatami, szkicami rozpoczętych obrazów, a raczej artystycznych myśli rzucanych na płótno, studyami pięknych, pół nagich kobiet, a przybranej w rycerzy zakutych w zbroje, siodła tureckie, pasy lite, brzozy i marmur... na zasłanym na podłodze francuzkim dywanem stały potężne stalugi, a na nich rozwieszone płótno wielkich rozmiarów.

Przy fortepianie siedział artysta, improwizując na temat ruskich piosenek ludowych. Przyjacieli jego, zagłębiony w fotelu, wpatrywał się w nawpół wykończony obraz. Wymalowane figury odsłaniały od ciemnego tła, rzucając się w oczy patrzącym.

Improwizacya muzyczna trwała dość długo i również długie było wpatrywanie się w obraz. Nareszcie improwizacya skończyła się hałaśliwym passażem i paru silnemi akkordami w basie, naśladującemi uderzenia pogrzebowych dzwonów. Artysta wstał i zbliżył się do przyjaciela.

— I cóż? Sprowadziłeś mnie, a teraz pewno żałujesz. Nie dorosłem do wielkości twych projektów, o tyle, o ile rzeczywistość nie dorówna marzeniom.

— Pod wpływem muzyki — mówił hrabia spokojnie — postacie te ożywiają się, żyją, zdaje mi się, że idą. Przecież i oni dwieście lat temu, te same pieśni śpiewali.

— Niezawodnie, lecz gdy tony muzyki ucichły, postacie zamierają, lub, co gorzej, stają się drewnianymi.

— Tego nie powiem: postacie wracają na swe stanowiska.

— Przestają się poruszać.

— Raczej fantazyja nasza, nie mając artystycznej podniety, przestaje pracować i wraca na swe stanowisko.

— Tak, czy inaczej, zawsze źle. Lecz cóż? W tym nudnym Krakowie niema żadnej podniety, natchnienia, upojenia. Nic—nawet tych rozrywek szalonych...

— Chcesz szaleństw w Krakowie! — przerwał hrabia.

— Ach! prawda, miasto to robi takie wrażenie, jakby ludzie w niem dokładali wszelkich sił, aby się nudzić.

— Przeciwnie, ciężko pracują, aby zacząć coś robić, przygotowują się ciągle do jakiegoś wielkiego zajęcia: i cóż dziwnego, że po tej ciężkiej pracy—odpoczywają.

— Bravo, doskonałe!

— Pracują wszędzie i zawsze. Idą na wystawę, lub do teatru, aby tam pracować. Na przechadzce, dla zachowania godności i utrzymania na wysokościach powagi, również ciężko pracują. Obmawiając bliźnich, oddając wizyty, pracują. Ztąd ta pracowita powaga i ta poważna zajęta ciagle, absorbująca ludzi, spracowana, ciężka nuda. Tu biedni ludziska nie znają żadnych przyjemności; bawią się, tańczą, modlą, kochają i żenią, wszystko w ciężkiej pracy. Dlatego-to ludzie weseli, lubiący się bawić, dowcipni, są tu niemożliwymi. Sterroryzowani uciekają, lub cofają się, zmieniając się powoli w poważne, nadęte powagi. Praca jest tu ogólnym hasłem, a mozolne próżniactwo, okryte togą powagi, uważane za pracę. W mieście tem mało kto coś robi dla przyjemności, lecz jedynie dla bliższego, lub dalszego interesu. I może dlatego miasto to jest tak biedne, a interessa jego tak małe. Jeżeli kto komu odda wizytę, w tej chwili odbierający ją zadaje sobie w duchu pytanie: jaki go sprowadza interes?

Portyera zaszeleściła, we drzwiach ukazał się służący, podając bilet wizytowy artyście.

— Piotr Dworakiewicz — przeczytał malarz i spojrział na hrabiego.

— W powozie są panie—bilet oddał lokaj hrabiny — dokończył służący, młody i przystojny chłopak.

— Proś — zdecydował artysta. Służący zniknął za portyera.

— Jak na Kraków, to ciekawe — odezwał się hrabia.

— Jakiż tkwi interes w tej wizycie?

— Zobaczymy. Tu nie istnieje sztuka dla sztuki, tu są tylko interesa.

Służący odsunął portyera, pan Piotr robił miejsce damom.

Hrabina od jednego rzutu oka oceniła plac boju i odpowiednią taktykę przyjęła.

Po wygłoszeniu jej nazwiska przez pana Piotra, zbliżyła się szybko do artysty, podała mu rękę, wypowiadając na cześć sztuki w ogólności, a specjalnie na cześć malarstwa, kilka efektownych komunałów, które zachwyciły pana Piotra, a usta hrabiego ułożyły do uśmiechu. Hrabina ciekawo i pytająco wzrok zatrzymała na wyniosłej postaci hrabiego—artysta go przedstawił. Zbliżyła się do niego i serdecznie, z odcieniem przyjacielskiego tonu, ludzi należących do jednej prawie rodziny, zaczęła z nim rozmowę od wspomnień wiedeńskich i tam zrobionej z nim znajomości.

Malarz zwrócił się do Izy, pan Piotr zabawił Klarcie, Klarcia mrużyła oczy, przypatrując się rozgrywanej scenie. Roztargniona, zbywała pana Piotra pół słówkami. Pan Piotr w duchu rozpaczał, Klarcia pracowała nad rozwikłaniem zawiązującej się w jej oczach intrygi.

— Po co tu przyszła hrabina i jaki ma cel? — zadawała sobie pytanie, nie mogąc na razie znaleźć odpowiedzi.

Miała czas namyslać się, gdyż hrabina w rozmowie z hrabią wpadła na ulubiony przez nią temat wspomnień wiedeńskich, a Iza, stojąc przed wielkiem płótnem wspartem na stalugach, rozmawiała z artystą. Dziewczyna puściła wodze swej fantazyi, pragnęła wypowiedzieć wszystko, co wiedziała o sztuce, pragnęła się dowiedzieć od razu wszystkich tajemnic malarstwa. Zapalała się, twarz jej różowiała, niebieskie oczy przenosiła z obrazu na artystę—i znowu powoli zwracała je na obraz.

Młody człowiek przyjmował pobłażliwie słowa dziewczyny, lecz mimo to zapalał chwytając go nieznacznie za serce, rozwiązywał mu usta i pobudzał go do artystycznych zwierzeń, tem więcej, im częściej niebieskie oczy dziewczęcia z obrazu zwracały się na niego.

Dziewczyna od obrazu przeniosła wzrok na makaty, rzeźby i zbroje.

— W takim otoczeniu, przepysznych rzeczy, barw i pamiątek przeszłości, można mieć natchnienie—szepnęła. Zobaczyła na ścianach malowane pół nagie kobiety—piersi drgające życiem, muskuły miękkie, plastycznie zaokrąglone, z różową krwią, płynącą pod białą, delikatną skórą. Zachwyt na jedną małą chwilę pokonał wrodzoną skromność, lecz ta upomniała się o swe prawa. Dziewczę odwróciło głowę, spotykając wzrok

1) Czytaj: „Li.”

matki, ostry i groźny, jako karę za wykroczenie przeciw formom.

Hrabia z grzeczności dla matki, a nieco pociągnięty urokiem i młodością dziewczęcia, zbliżył się do niej. Hrabina zwróciła się do malarza, obypując go komunami pochwał i zachwytywna zimno. Artysta je znał, słysząc tyle razy powtórzone, umiał na pamięć. Przyjmował je z łagodnym uśmiechem, zwracając wzrok na Izę, której twarzyczka od reflexu jasnych barw jej sukni mieniła się uroczem. Nikt tego nie widział; jeden tylko artysta, mając wzrok wydelfakony na zmiany światła, dostrzegł je i zachwycił się niemi.

Hrabina, prowadząc nieustającą z nim rozmowę, powoli zbliżyła się do obrazu.

— Świetne, wyborne, znakomite! Te postacie wychodzą z płótna, żyją, patrzą się na nas i zdają się mówić o wielkiej naszej przeszłości. Tworzysz pan dramata dziejowe i wskrzeszasz naszych przodków.

Klarcia pierwszy raz słyszała hrabinę mówiącą o sztuce i używającą wyszukanych frazesów. Była zdumiona jej rozumem, wymową, oddawała hołd jej talentowi.

— Cóż to za postać dzielna pełna siły i ognia! — mówiła hrabina wpatrując się w obraz — A ta dziewczyna, w stroju włoskim ze złotą przepaską na czole, — jak wyborne pojęta!... Układ, wyraz twarzy, karnacja — przepyszne... — Zamyśliła się chwilę, potem wymówiła szeptem:

— Wyborna, świetna myśl... — zwróciła się do malarza. — Szczęśliwa myśl — dodała — głośniej — żeby jednak zmieniła się w rzeczywistość, potrzeba na to zezwolenia pańskiego, a przedewszystkiem jego dobroci i, powiedzmy prawdę, troszki poświęcenia.

Klarcia, rozciekawiona, zbliżyła się, aby lepiej słyszeć.

— Poświęcenia należy do osobliwości, i dlatego radbym się dowiedzieć...

— Tracę nadzieję — przerwała hrabina — aby prośba moja mogła być wysłuchana.

— Najlepiej kwestyą przeciąć odrazu — odrzekł wesoło artysta.

— Ulegam dobrej radzie — powiedziała ze skromną minką hrabina.

Iza i hrabia zaczęli również słuchać.

— Radabym, aby moje dziewczę w wiosnie życia swego zostało mi przez całe życie takie, jakim jest dziś, a było traktowane i pojęte, jak ta postać na obrazie. Czy marzenie matki zmieni się w rzeczywistość? — o tem poświęcenie artysty rozstrzygnie.

— Ależ tu nie może być mowy o poświęceniu!

— A więc się pan zgadzasz? — zawołała Iza tryumfując, wyciągając rękę do malarza. — Będzie to dla mnie wielkim zaszczytem i wielką radością, dla mamy — pamiątką.

Malarz zatrzymał w swej dłoni małą i wąską rękę dziewczęcia i, patrząc jej w oczy, powiedział: — Jeżeli na prawdę przyjemność to pani zrobi...

— Rozkosz! — zawołała — Tyle się przy mem pozowaniu nagałamy o sztuce, tyle się przede mną odkryje tajemnic! Poznam nowy świat, — świat barw i światła.

Hrabina spojrziała z odcieniem dumy matczynej na hrabiego.

— Jesteś pan bardzo dobry — mówiło dalej dziewczę serdecznie. — Wiem, że wielcy artyści nie lubią malować portretów, żalują czasu...

— Lecz lubią malować wiosnę, jej uroki, czary i głębię niebieskich oczu, w których naiwność spleta się z rozumem.

Hrabina rada była, że wobec hrabiego malarz oddawał hołd piękności jej córki. Pan Piotr uwielbiał rozum i spryt hrabiny, a dziwił się odwadze i zuchwałości malarza. Domyślność Klarcia zaczynała przybierać pewne, oznaczone kształty. Hrabia z właściwym mu uśmiechem wielkiego pana i filozofa patrzył i słuchał.

Dziewczę, pierwszy raz słysząc wyrazy uwielbienia, tak stanowczo i otwarcie zwrócone do siebie, zawstydzona, z oróżwioną twarzą, zwróciło się do matki.

— Mamie za niespodziankę przedewszystkiem

dziękuję, a i tobie, panie Piotrze, za pośrednictwo w tej sprawie.

Pan Piotr zakłopotany, odpowiedział niezrozumiałym frazesem.

— Zwycięstwo jeszcze nie zupełne — mówiła serdecznie i ciepło hrabina, zwracając się do córki. — Pozyskał mi artystę, lecz niemniej należy nam zdobyć łaskę jego przyjaciela. Wskazówki i rady tak znakomitego znawcy — a nawet sama jego obecność...

— Pan hrabia — przerwała Iza — nie odmówi nam, wszak prawda?

— Zabieracie mi panie przyjaciela, muszę iść za nim, a temsamem i często przeszkadzać posiedzeniom — odparł hrabia swobodnie.

Klarcie małe świdrujące oczy zabłysły, wąskie usta wygięły się do uśmiechu tryumfu i zwycięstwa.

— Nareszcie! — szepnęła i odetchnęła głęboko.

Wyraz ten usłyszał pan Piotr, odgadł jego znaczenie, i oile korzyść się przed geniuszem hrabiny, o tyle uwielbiał spryt i domysłność Klarcia.

— Kobieta ta — pomyślał — potrafi przypiąć swemu mężowi klucz szambelański do fraka. Odgadła, wszystko odgadła odrazu i dla wielkości sprawy powinna mi przebaczyć tajemnicę.

Hrabina serdecznym pożegnaniem artysty i jego przyjaciela zamknęła posiedzenie. Przedłużyć je byłoby niezręcznością, tem więcej, gdy już wszystko było zrobione.

— A zatem jutro — odezwała się z entuzjazmem młodości Iza — jutro w samo południe wobec najlepszego światła, jutro uroczysta chwila w moim życiu — do widzenia do jutra. Ach, zapomnieliśmy o najważniejszej kwestyi... Jak mam jutro wystąpić?

— Jak w tej chwili — barwy są tak świetne dobrane do ciemnych włosów i niebieskich oczu. Musimy czarować harmonią kolorów.

— A łaskawy nasz doradzca? — spytała, podnosząc wzrok na hrabiego.

— Co do mnie, wolalby widzieć panią na obrazie w stroju odrodzenia. Jedwabie i aksamity mają swój powab. Lecz ponieważ sprzeciwianie się swej woli uważa mistrz za zbrodnię...

— Gdybym się nie bała popełnić zbrodni — odezwała się hrabina — popierałabym opinią hrabiego.

— I my z drugiego planu, to jest panna Klara i ja, gdybyśmy się nie bali, głosowalibyśmy z panem hrabią i panią hrabiną — odezwał się wesoło pan Piotr.

Za wesołość i za odwagę umieszczenia hrabianki Klary na drugim planie został przeszyty wzrokiem.

Biedny pan Piotr zadrżał, i smutno głowę pochylił.

— I ja ośmielię się na wypowiedzenie swego zdania — przemówiła wesoło Iza, zwracając się do malarza. — Jeżeli mistrz pozwoli wystąpić mi w swej sprawie...

Mistrz skinieniem głowy i ruchem ręki pozwolił.

Nie chcąc zrażać naszego artystycznego opiekuna, a martwić mamy, — czyby nie było dobrze, aby barwy zostały te same, lecz tylko zmienione na jedwab i aksamit?

— Bravo! — oto co się nazywa rozwiązaniem kwestyi — rzekł hrabia.

— Pomysł wyborny — dodała hrabina — jeżeli tylko zuchwalstwem naszym nie obrazimy mistrza.

— Przyjaciół mój ma szczególny dar przedstawiać mnie jako kapryśnego tyra — odparł swobodnie malarz. — Pragnąłbym panią malować w słońcu, z koszem kwiatów, jako uosobienie wiosny i wdzięku młodości.

— Cofamy się — przerwał hrabia — nie odgadliśmy twoich zamiarów. Upokorzeni własną zuchwałością, cofamy się.

— Przepraszam — odpowiedział stanowczo artysta — idę za wolą i rozkazem pani — skłonił się hrabiance.

— Ja zaś przysięgam już nigdy nie sprzeciwiać się mistrzom. A może i dobrze się stało. Za słaby ze mnie model na wiosnę i wdziek, gdy mogę być niezłą mieszczańką z szesnastego wieku.

— Księżniczką — poprawił malarz.

— Jednakowo podobno się ubierały bogate mieszcżanki i księżne. I często mieszcżanki mają postawy księżnych a księżne...

Pod znaczącem spojrzeniem matki zamilkła.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

Przegląd Pedagogiczny, pismo dwutygodniowe, poświęcone sprawom wychowania szkolnego i domowego, zatem organ ważny dla społeczeństwa, zmienił z początkiem roku format z książeczkowego na arkuszowy, z zamiarem rozszerzania się przez dodatki, zawierające podręczniki naukowe. Numer pierwszy zawiera dodatków tych dwa: „Metoda nauki rysunku, oparta na zasadach naukowych“, przekład z Flinzer'a, dokonany staraniem redakcji *Przeglądu Pedagogicznego*; dalej: „Zarys geografii powszechnej“, napisany przez Wacława Nałkowskiego a wydany nakładem redakcji *Przeglądu*. Każdy z tych podręczników obejmuje arkusz z druku w szesnastce. *Przegląd* wychodzi 1-go i 15-go każdego miesiąca, redaktorem jest p. Floryan Łagowski.

— Ważną kwestyą edukacyjną poruszyło niemieckie czasopismo: *Paedagogium* — kwestyą — która nieraz boleśnie uderza rodziców jest dla rodzin niewyczerpanem źródłem niepokoju i trudności wychowawczych. Że nie wszystkie dzieci są równie zdolne do korzystania z udzielanych im nauk, że są umysły zimne i ociężałe, pojęcia tępe, niepochwytne, pamięci słabe — wiedzą o tem wszyscy; coż przecież rodzice czynić mają z dziećmi takimi, zwłaszcza, gdy przychodzi wiek oddawania ich do szkoły? To trudne zagadnienie stało się przedmiotem rozpraw, którym wspomniane czasopismo dało miejsca w łamach swoich. Dziecko takie staje się z konieczności złym uczniem, czy uczennicą; że nie może w objęciu przedmiotu naukowego zdążyć za innymi, trudności gromadzą się tak, że stają się w końcu niepokonanymi i często upośledzonymi uczeń wcale już uczyć się przestaje, traci wszelką ambicję, spokojnie przyjmuje nagany i kary szkolne, więc psuje się, poniża moralnie i w miarę temperamentu staje się albo cierpliwie tępym nieukiem, albo rozpustnym zuchwalcem, który przykładem swoim pociąga współuczniów do wykroczeń przeciw regu laminowi szkolnemu i karogodnych postępów.

Zatem uczeń niezdolny nie tylko sam mało korzysta z uczęszczania do szkoły, ale innym tam przeszkadza: hardy i niekarny przez zarazę tych wad, gdy uległy i zalekniiony psuje współtowarzyszy w sposób inny, bo stając się przedmiotem szyderstw i żartów nielitościwych, złe skłonności natury ludzkiej w młodych sercach rozbudza, zaprawia współuczniów do pomiatania słabym, przewodzenia nad bezbronnym. I dla nauczyciela trudność to jest i przeszkoda, bo żal mu opuścić takich biedaków, a nie może dla nich opóźniać postępów większości.

Profes: Kielhorn z Brunswiku podał jako przykład do rozwiązania tej kwestyi wiadomość o szkole, która od 1881 roku istnieje w jego mieście rodzinnem, a której przeznaczeniem jest właśnie przyjmowanie dzieci słabej inteligencji. Po długich nad przedmiotem naradach utworzono ją w ciągu roku szkolnego na próbę, pod nazwą klasy pomocniczej i zaraz zgłosiło się do niej 29 uczniów, a rezultaty okazały się tak szczęśliwe, że zarząd miasta przemienił ten zakład próbny w instytucyą stałą, która z biegiem czasu rozszerzała się coraz o klasę jedną, i obecnie jest to szkoła regularna, trzyklasowa, z kursem dwuletnim dla klasy każdej, posiadająca siedmdziesięciu uczniów takich, którzy w szkole innej nie uczyliby się nic, lub bardzo mało, a tu, pobierając naukę, której programat jest odpowiedni do ich możliwości pojmowania, rozwijają się o tyle, oile dane ich zdolności pozwalają na to.

Szkoła to jest elementarna, ale zdaniem Kielhorna mogłyby istnieć i szkoły średnie, urządo-

ne w ten sposób, bo nawet wtedy, gdy środki rodziców pozwalają na naukę prywatną dzieci tak mało zdolnych, że im trudno jest wydać za innymi w szkołach zwyczajnych, jeszcze publiczna szkoła przedstawia korzyści wyższe, bo właśnie warunki edukacji publicznej są niezbędne dla rozwinięcia umysłów leniwych, dla ożywienia ich i rozgrzania przez współzawodnictwo, przez zętknięcie z innymi—przez oddziaływanie jednych na drugich i pewne wynikające ztąd starcie się myśli, wzruszenie jej martwoty i chłodu.

Najlepszy, najrozsądniejszy staranny nauczyciel prywatny, nie może—zdaniem Kielhorna—stworzyć uczniowi swemu tych pomocniczych środków rozbudzenia władz umysłowych, jakie szkoła przedstawia. Że jednak ambicya młoda szanowana być powinna, tym szkołom wyjątkowym nie wolno ogłaszać z góry przeznaczenia swego W Brunśniku przy egzaminach już nauczyciele radzą rodzicom zwrócenie się do szkoły „przygotowawczej” do szkoły „pomocniczej” i dla znacznej liczby uczniów okazuje się ta szkoła rzeczywiście taką. Czasem umysł tępy potrzebuje, aby go powoli w ruch wprowadzić, nie ogłuszając go, nie forsując; podobnie postępować należy z umysłem ciężkim i powolnym.

Jest jeszcze kategoria umysłów nieśmiałych; te nie potrzebują szkół wyjątkowych, tylko względnie i łagodnego nauczyciela, zwłaszcza w klasach początkowych, bo raz ośmielone odpowiednio i poparte, zdolne są nawet do śmiałego i szlachetnego polotu.

Ale widzimy nieraz ludzi niezmiernie bystrych i zdolnych w życiu praktycznym, umiejących sobie radzić z jego trudnościami i bardzo pracowitych w tym kierunku, którzy przeciwko wobec nauki, wobec wszelkich pojęć oderwanych, okazują zupełną obojętność, chłód i nawet niechęć zająć się tem, co dla nich jest pozbawione wszelkiego interessu. Nie są to umysły tępe, ale umysły niezmiernie realne i przymuszanie ich do nauki wyższej nigdy nie wyda owoców pożądaných. Należy je oświecić otyłe, aby nie pozostały ciemnymi wobec zagadnień potrzebnych do takiego zbawienia ducha ludzkiego, aby człowiek wiedział i czuł, że jest światło ożywcze ku któremu duch ludzki podnosić się powinien, żeś na ziemi cele święte, drogi, które wzywać wiedzą, sprawy względem których poświecenie jest obowiązkiem, a obojętność grzechem i wstydem. Żadna siła gwałtem w umysł wypchanej nauki nie rozszerzy go po nad zakres jego zdolności, ale jest w nauce podawanej umiejętnie i odpowiednio do rodzaju uzdolnień ucznia, siłą wzmacniającą—jest umysłową gimnastyką, która zdolności zaostrza i wzmacnia otyłe, że z ucznia tak kształconego czyni się w każdym razie człowiek oświecony i wszystkie ważne zadania życia otyłe rozumiejący, iż wyższe uszanować umie, a z tych, do których zdolnym się pokaże, potrafi wywiązać się uczciwie i być użytecznym członkiem swego społeczeństwa, dobrym obywatelem swego kraju.

Kielhorn zakończył też korespondencją swoją wiadomością, że pomiędzy dziećmi, pobierających naukę w owych brunświckich „szkołach pomocniczych” wyszło niemało ludzi pożytecznych, którzy znaleźli sobie w mieście rodzinnem „przyzwyczajenia i którzy zaszczytnie zarabiają na życie”; gdy tymczasem niezdolni uczniowie szkół ogólnych pozostali ciemnymi i nieudolnymi i gdy część ich jedna wiedzie istnienie pasażerów i jest dla innych ciężarem, druga przedstawia zły żywioł zepsucia i upadku moralnego.

TRZY MIŁOŚCI SZOPENA

(Les trois romans de Fréd. Chopin par Comte Wodziński).

(Dokończenie).

Trzecia miłość Szopena jest najboleśniejszym dramatem, najokrutniejszą tragedją, jaką kiedy przeżywało serce ludzkie. Musiała też zakończyć się śmiercią, bo takie, jak on, uczuciowe, de-

likatne organizacje nie mogą już żyć po przejściach podobnych. Na strunach najtkliwszego na świecie serca surowa namiętność położyła swoje szpony i porwała je wszystkie! Sand, w stosunku do ludzi, którzy nie chcieli od niej tylko chwili szalu, kielicha jakgdyby palącego się płomieniem ponczu—kochała zniszczeniem, śmiercią! Tak zabiła, zabiła Musseta: wydarła go poezji, obrała go z niej i rzuciła prędko po drodze swojej, zatrutego jadem, który rozkłada życie natur szlachetniejszych. Już nie mógł wrócić tam, z kądo go wywiodła ta zła czarownica i stał się ruiną bez podstawy życiowej. Rozczarowanie i próżnia życia szukały narkotyków odurzających: zabił się pijaństwem tak, jakgdyby posłał sobie w serce kulę rewolwerową, tylko byłby to rodzaj śmierci mniej bolesny i nie tak ciężki, w procesie swym łaskawszy, bo krótszy.

Szopen był szczęśliwszy, bo nie upadł tak nisko. Fizyczna słabość nie dała mu przeżyć piekającej boleści tortur, jakie mu zadawała ta kobieta, gdy chciała go się już pozbyć, a której on się trzymał uparcie, nie przez nędzną słabość przecie. W tej duszy szlachetnej istniały skrupuły, których Sand nie rozumiała, których, co polskiego czytelnika dotyka przykrej, nie zdaje się rozumieć i Wodziński. Nazywa to „skrupułami katolickimi” i „bojaźnią piekła”, że Szopen chciał dla miłości swojej uczciwego małżeństwa, że potem chciał, choć już tylko wiernością nierozzerwanego nigdy związku, uratować coś czci kobiety i swojej własnej godności moralnej. Wogóle Wodziński, nigdy nie głęboki, deklamator głównie, jest przy opisie stosunku Szopena z Sand, dziwnie połowiczny i wedle naszego przysłowia: nosi swój płaszcz historyka na dwóch ramionach. Czerpie z naszych pisarzy, więc mu się wymknie coś *przeciw*, ale natychmiast, przez galanterię dla francuzkich czytelników, wydostaje z zana-dra jakieś *za*: i oto w miejsce własnego sądu podaje argumenta, przez które Sand usprawiedliwia się sama w „Historii mojego życia”, następnie uzupełnia adwokacką swoją tezę licznymi sofizmatami w tym guście: „Elle était l'image de la nature même, généreuse, expansive, bonne, jouissant plus du bonheur présent, que tourmentée des regrets du passé”....

Więc jako „wizerunek natury” była tedy Sand „dość bogata, aby przenosić swoją czułość tak żywotną i tak świeżą (jak u natury) z przedmiotu na przedmiot” i Wodziński, wykręcający swój przedmiot na dwie strony, jeżeli chce w ten sposób być miłym czytelnikowi francuzkiemu, co nawet nie wiem czy potrzebnem było, bo wielu i bardzo wysokich pisarzy francuzkich wyrażało się w tej sprawie inaczej—a nawet niedawno—to utracą sympatyą czytelnika polskiego najzupełniej. Przedmiot tylko pociąga do jego książki przez interes swój nigdy nie słabnący i kilka szczegółów nowych, jakie się tu spotyka.

Jeżeli co może pozyskać dla Sand jakietakie rozgrzeszenie—to, że, posuwając się w życie, gdy siła namiętności przestała już wywierać nad nią panowanie swoje—zaczęła czuć zgryzotę przeszłości i oglądając się w tył, na życie przebyte, cierpiała, jak tego dowodzi V-ty i VI-ty tom jej *Korespondencji*. Tam-to przyznaje się Flaubertowi, że ten jej czas rozważa i wniknięcia w siebie, który następuje dla pewnych natur silnych i wyższych, zanim grób się otworzy, ma żale ciężkie, ma lzy! Piszę, że jak koty kryją się w miejsca puste, aby umierać w samotności, tak ona ucieka, aby płakać, niewidziana przez nikogo....

To trzeba było autorowi książki przytoczyć, aby cośkolwiek ułagodzić i rozzbroić dla tej kobiety czytelnika. Ale wolał on wykręcić się słomą sofistyką.

Prócz tego co pisze Karassowski, czytelnicy naszego pisma wiedzą z pamiętnikowego wspomnienia o tej chwili życia Szopena ¹⁾ jakim było jego pierwsze spotkanie z Sand—przypadkowe a poprzedzone dziwnie bolesną trwogą przed czemś nieokreślonym—niepokojem duszy, przeczuwającej śmiertelne niebezpieczeństwo—zbliżenia się

złowrogiej istoty. Działo się to w połączeniu z pewnego rodzaju hallucynacją. Fiołki były Szopenowi tak ulubione, że musiał je mieć blisko siebie oile tylko się dało, choćby najdrożej nabyte: i oto wóń tych kwiatów zaczęła go nagle prześladować w wyrocznym dniu poznania tej kobiety, wzmagając się w miarę, jak zbliżał się do niej przestrzenia i czasem ujrzenia jej. Nastąpiło to wieczorem u hr. Marliani. Przez cały dzień dręczony smutkiem i dziwnym uczuciem jakby lecenia w przepaść, słysząc, jak gdyby głosy wołające na niego, jak to już doświadczał, gdy będąc chłopcem młodym, odbywał na wsi wycieczki samotne—zdawał się poznawać wśród nich głos utraconej kochanki, głos Maryi, i widział w pustej przestrzeni swego pokoju jej twarz, jej oczy czarne, patrzące na niego.

Jakgdyby tajemnicza jaźń jej istoty, oddzielona od ciała, chciała mu biedz na ratunek w chwili wyrocznej i przez wzbudzone o niej wspomnienie obronić go przed zabójczą miłością kobiety, która zdołała kochać tylko potęgą namiętności, — twarz jej, jej oczy, spoglądały na niego, ale niestety, nie był to środek ratunku. Właśnie, aby się bronić przed siłą oblegających go widm przeszłości, wybrał się na wieczór, gdzie był zaproszony. We fiakrze dusił jadącego zapach fiołków, wzmógł się jeszcze na wschodach domu, do którego wszedł i uczył nagle taki przed tem wszystkim strach, taką trwogę, że chciał się już ode drzwi przedpokoju wrócić.

Ale się nie wrócił: zapewne tak zwany zdrowy rozsądek zatrzymał go; wszedł, aby poznać tam Aurorę Dudevant—inaczej Sand.

Grał, gdy weszła cicho do salonu w sukni z purpurowego aksamitu, krojem greckim. Perfumy, których użyła—były fiołkowe!...

On improwizował na temat piosenki ludowej „Pożegnanie ułana:—Żołnierz odjeżdża, odjeżdża i wraca—żegna się a pożegnać mu trudno! Raz żegna rodziców, potem żegna siostrę, potem kochaną dziewczynę. Noc tak minęła, już się niebo rumieni, już świtać zaczyna a on jedzie, dziewczyna słyszy odgłos kopyt konia, coraz dalej, dalej odjeżdżającego... Odgłos słabnie, a jej serce mówi:—nie wróci!

Szopen identyfikował siebie z ułanem tym biednym... daleko odjechał, daleko... Wzrok duszy posłał w dal poza siebie: widział rodzinną krainę i jej naturę, widział wioskę mazowiecką o letnim wschodzie słońca, otoczyły go kształty i barwy drogie, serce zjął tęskny *żał*, gdy nagle uczył silny zapach fiołków i ujrzał wpatrzoną w siebie parę oczu czarnych...

Ujrzał je już tak, że przywidzeniem być to nie mogło. To ona, to Marya patrzyła...

Nie, inna to kobieta zastępowała drogę jego życia, tylko oczy były równie duże i czarne, włos tak samo bujny, płeć matowo biała i owal twarzy podobny. To podobieństwo do Maryi Wodzińskiej stanowiło siłę pociągającą Szopena do Sand, która wtedy świeżo napisała „Lelą” i była otoczona dziką, namiętną poezją tej książki. Jej oczy już się przez cały ten wieczór nie oderwały od Szopena, działając nań potęgą złowrogą, wprowadzając go w gorączkę. Naoczny świadek tego spotkania, opowiadający potem Wodzińskiemu jego szczegóły—przypuścić można, że jest to ten sam, z którego opowieści powstało wyżej wymienione, w piśmie naszym drukowane wspomnienie tej chwili—wierzył niemal w urzeczenie, w siłę magnetyczną, dającą tej kobiecie moc nieograniczoną: „influence néfaste” nad duszą, nad geniuszem Szopena. Zarzuciła na niego przez pierwsze promienie swego wzroku jakieś łaśso tajemnicze, którego końca trzymała w ręku. Ów świadek:—„certes indiscret”—dodaje Wodziński,—widział jak w chwili rozejścia się z pałacem Marliani Sand poszukiwała swemi pełnemi, jak krew czerwonymi ustami, delikatnych, różowych ust Szopena!

Zatrula go tym pocałunkiem—wzięła w niewolę swojej namiętnej miłości, która u niej nie przetrwała dłużej nad dwa, trzy miesiące. On biedny męczył się w jej pętach lat ośm, zrazu tolerowany, zesunięty na stopę przyjaciela, potem coraz mniej cierpliwie znoszony, na koniec dręczony, upokarzany, zmuszany, aby poszedł precz drogą swoją, dając jej wolność uczynienia tegosamego

1) „Dach kwiatu”, Bluszczy z 1884 r. Sierpień.

Dwoje dzieci jej: syn Maurycy i córka następnie żona rzeźbiarza Clésingera, nienawidzili też upartego intruza: więc ona zaczęła posługiwać się nim, aby go zmusić do rozstania; on przecież chciał to wszystko znieść, „dla bojaźni piekła“, jak Wodziński doszedł w trafność swego sądu o tym duchu poety, aż zniecierpliwiona kobieta jęła się barbarzyńskiego środka. Napisała powieść: *Lucrezia Floriani*, której bohaterka, artystka, ulega okrutnej i męczącej, zabijającej ją niewoli chorego maniaka i wizyonera, trzymającego się jej kleszczami gorączki i ciągnącego ją za sobą do grobu. Aby czytający nie ominał czegoś przypadkiem i nie przeoczył podobieństwa położenia, dano mu do robienia z tego korektę. Sand użyła pośrednictwa dzieci — wyjechała z domu a im kazała mu to wręczyć.

Reszta sił podniosło się w piersi serce biedaka. W Lipcu 1847 roku rozstano się i był to dla Szopena cios śmiertelny. Po ciężkim ataku nerwowym życie jego wisiało przez dwa miesiące na włosku, a choć śmierć nie przyszła jeszcze po ofiarę swoje, wszyscy już wiedzieli, że to odroczenie jest tylko.

Jeszcze raz widzieli się potem. Spotkali się gdzieś w wspólnych znajomych, w miejscach gdzie wszystko przypominać im musiało przeszłość. Jakkolwiek według tego, co wiemy, to serce kobiety nie było zbyt miękkim, ogarnęło ją wzruszenie. Podeszła ku niemu i „oczy jej, które umiały przysłonić swoje ognie pieśczętliwym spojrzeniem“, podniosły się: „Fryderyku...“ „zaszemrały usta, ale on, błąd jak śmierć, spojrzał tylko na nią i w milczeniu wyszedł.

Nie miał już dla niej ani jednego słowa, i Wodziński pisze, że „były między nimi złe serca nawet w godzinie zgonu...“ ale nie rozumie on nigdy Szopena. Natury takie, jak on — łagodne i sercem tklive, kochające bez egoizmu, idą do ostatnich granic przebaczenia, ale gdy tam raz dojdą, nie zwracają nigdy. Nie jest to zaciętość, ale czerpały one z serca do ostatka, nie unosząc się, nie wybuchając, aż z ostatnią wiarą w istotę, niegdyś im drogą, miłość w nich umarła. Może zostać po niej taki żal, że siła istnienia, jak u Szopena, ginie — ale to co innego. Zabija ich rana, którą otrzymali; umierają przez próżnię serca, bo nie mogą już kochać raz drugi.

To historia Szopena. Wkrótce po tragedii rozłączenia wyjechał do Anglii i bawił, głównie w Szkocji, blisko rok. Otaczali go ludzie dobrzy, miał życzliwości i czci, uznania tyle, ile tylko mógł pragnąć; ale nie było mu tam dobrze, bo nie mogło mu już być dobrze nigdzie. — „Nie ma dla mnie ani radości, ani smutku“ — pisał do Fontany.

— „Nie potrzeba mi już nic, nie mam już gustu do niczego...“ odzywa się też do Fontany w liście, poprzedzającym powrót do Francji — Lżej bym oddychał, gdybym mógł przeklinać *Lucrecię* — dodaje — ale i tam może cierpię...“

Tam nie cierpiano; dopiero w tych chwilach, gdy namiętność używania odstąpić musiała, gdy spójrzano wtył, aby ujrzeć tam siebie w tem zwierciadle prawdy, które dostaje się zwykle do rąk człowieka wtedy, gdy życie już mu użycza ostatniego noclegu.

Wśród wyżej przytoczonych słów gorzkich, najostrzejszych może, jakie wyszły z ust i z pod pióra Szopena, użyte imię Lukrecji dowodzi, że Szopen wierzył w tendencję powieści, która się stała ostatnią kroplą w czarze gorczy, jaką mu podano, gdy kielich nektarów miłosnych dopitym został. Sand wypierała się tego, składała rzecz na nieszczęśliwy zbieg wypadków, ale nikt nigdy temu nie wierzył, prócz chyba Wodzińskiego, który jest wyjątkowo łaskawy na Lukrecję.

Szopen wrócił do Paryża w Styczniu 1849 r. tak już słaby, że dawanie lekcji było niemożliwym, i zaczęła mu grozić bieda, o której przecież nie widział, bo nigdy nie liczył zarobionych pieniędzy i nie wiedział co ma. Przyjaciele, uczniowie, zajmowali się tą stroną jego interesów, i zaczęli już ogarniać ich strach co będzie? gdy bogata uczennica mistrza, Szkotka, miss Sterling podsunęła mu tajemniczo 2,000 franków. Włożyła je w kopertę i wmieszano ją pomiędzy przychodzące listy, które składano nad kominkiem.

Omało-co nie została rzuconą w ogień. Franchomme, uczeń Szopena, który właśnie rozciągał dozór nad stanem jego kassy, omal tego nie uczynił, sądząc, że koperta, adresowana nieznaną mu ręką, zawiera jakie zaprosiny, jaką odezwę o wsparcie.

Śmierć zbliżała się tymczasem. Szopen, dręczony trudnością chwywania w piersi powietrza, pragnął jej, przyzywał jej nawet. Siostra, Jędrzejewiczowa, przyjechała do brata; łóżce mistrza otaczali najmiłsi mu uczniowie i uczennice, była w ich liczbie księżna Marcelina Czartoryska (Radziwiłłówna z domu), była Delfina Potocka, Gutmann, Franchomme. Dnia 15 Października rozpoczął się okrutny akt zgonu. Była to niedziela, na ulicach Paryża było cicho, a on poznał, że to już śmierć się zbliża. I był kontent z tego, iż to wie, uważał za łaskę Boga dla człowieka, jeżeli mu ta wiedza zbliżającej się chwili ostatniej daną zostanie. Gdy ujrzał między przytomnymi Delfinę Potocką, która dowiedziawszy się o jego stanie, przybyła co najspieszej z Nicei, i z której oczu lały się nieprzerwanie strugi łez, poprosił ją głosem cichym, aby mu coś zaśpiewała.

Tłumiąc łkanie, najwyższym wysiłkiem woli hrabina zaczęła śpiewać, nie arją Belliniego, jak mylnie podaje Wodziński — lecz hymn Stradelli do Najświętszej Panny! — O! jakie to piękne!... mój Boże!... jakie to piękne! — szeptał biedak na łóżku i prosił hrabinę o coś jeszcze, a ona, jakgdyby z góry czerpiąc siłę — pisze Karassowski — siadła do fortepianu i odśpiewała psalm włoskiego mistrza Marcello.

Dzień się już kończył, zapadał mrok wieczorny a przy łożu brata klęcząca siostra modliła się i płakała.

Scena ta, w najwyższym stopniu wzruszająca, natchnęła francuskiego malarza, Barriasa — co już podaje Wodziński — do oddania jej pędzlem. Obraz został następnie własnością uczennicy jego, Amerykanki, Winnarety Singer i obecnie znajduje się w Galeryi księcia Campofelice, którego syn zaślubił miss Singer.

Nazajutrz rano zażądał Szopen spowiedzi i ostatnich Sakramentów. Udzielił mu ich ksiądz polski, Alexander Jelowiecki. Po komunii wyzywał do siebie wszystkich przytomnych i żegnał ich. Mówił już przecież bardzo cicho, na księżnę Marcelinę skinął i, przyzwawszy podobnie drugą swą uczennicę, Elizę Gavard, wyszeptał księżnie do ucha życzenie, aby grywały niekiedy razem.

— Myślcie wtedy o mnie — dodał — ja słuchać was będę.

Franchomowi powiedział: — Grywaj Mozarta na pamiętkę moję.

Potem stracił mowę, ale odzyskał ją jeszcze na drugi dzień. Chciał się modlić i odmówił litanią za księdzem Jelowieckim. Przyjął Ostatnie Namaszczenie, dał pod nie ręce i nogi, przyczem głowa jego spoczywała na ramieniu Gutmanna. Gdy już śmierć mrozić zaczęła członki i cieniem swym słońca oczy, — zapytał tego wiernego ucznia: — Kto przy mnie jest? — Gdy usłyszał odpowiedź, poprosił o wodę a, dziękując za podaną, pocałował wdzięcznie rękę Gutmanna i zamknął oczy.

W tej chwili zegary paryżkie były trzecią godziną rano. Umarł więc 17 Października 1849 r.

Otworzono wtedy drzwi pobocznego pokoju i zebrana tam rzesza przyjaciół i wielbicieli tego genialnego ducha, który odszedł do nieba, wkroczyła do komnaty śmierci, zalewając się łzami. Ponieważ wiadano, jak bardzo lubił kwiaty, naskłaniał mu ich z różnych stron i od różnych osób takie mnóstwo, że ciało w całym znaczeniu tego słowa spoczywało na łożu kwiatów. Twarz choć wynędzniała, miała wyraz bardzo pogodny. Stała się dziwnie piękną i młodocianą. Rzeźbiarz Clésinger zdjął z niej maskę i on-to potem wykuł z marmuru popiersie, które wieńczy grobowiec na cmentarzu Père-Lachaise, gdzie, jak chciał, złożono zwłoki obok Belliniego, z którym łączyła go przyjaźń w pierwszych latach pobytu we Francji.

Na oczy nasypali mu ziemi polskiej, tej przechowanej wiernie w srebrnej czarze pożegnania, którą w 1830 r. otrzymał na Woli. Meyerbeer

wiódł chór żałobny, cztery rogi całunu nieśli: księżę Czartoryski, Delacroix, Franchomme i Gutmann. Serce wróciło do ojczyzny i jest złożone na odpoczynek wieczny w Warszawie, w kościele Ś-go Krzyża.

Zwłoki prowadzono przy uroczystych dźwiękach własnej kompozycji mistrza, przy dźwiękach *Marszu Żałobnego* (z sonaty B-moll). Instrumentował go na ten cel Reber i płynęły tony te wzniosłe przez ulice Paryża, wiodąc kondukt nieprzeliczony. *Lucrezia* nie znajdowała się przecież wśród tego wzruszonego tłumu; ale wiem z ust wiarogodnych (od Franciszka G.), że widziano ukrytą poza spuszczoną żaluzją okna. Czy rozdarłszy szaty nie odziała się w wór pokutnicy, czy nie posypała głowy popiołem? Nie zapewne, wtedy jeszcze nie... ale przyszła chwila, że samotna płakała w miejscach pustych, jak zwierzę, które chce umierać zdaleka od wszystkich.

Jak serce mistrza, tak dźwięki muzyki, którą tworzył, wróciły do rodzinnej jego ziemi. Kto u nas gra, a ma w piersiach serce — ma w sobie ducha poezji i melodyi, dlatego te najsłodsze, najtkliwsze, na świecie tony, pełne naszego rodzinnego żalu, nigdy nie przestarzałe, są wiecznie świeżym i młodem pięknem.

M. Ilnicka.

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Styczniu 1887 r.

Tombola gospodarska. — Odczyty na cele dobroczynne. — Czytelnia kobieca. — Ks. Waleryan Kalinka. — Nowe książki: *O konwencji genewskiej* przez prof. Roszkowskiego. — *Wspomnienia Edwarda Pawłowicza*. — *Franciszek Smolka, jego życie i zawód publiczny* przez Karola Widmana. — Odczyt p. Felicji Boberskiej w Radziechowie: *O Mickiewiczu* — Towarzystwo opieki nad przemysłem krajowym.

Jak Warszawa miała swój kiermasz, tak Lwów miał w przededniu świąt Bożego Narodzenia *tombolę gospodarską*, urządzoną na dochód tutejszych instytucji dobroczynnych, na której wybrańcy losu mogli się zaopatrzyć we wszelkie potrzeby świąteczne. Były tam do wygrania za dwadzieścia centów, ryby, drób, sarny, zające, struclę — słowem wszystko, co tradycyjnym obyczajem spożywa się na wigilię i stanowi jej cechę charakterystyczną, i czem skrzętna gospodyni rada uraczyć swych gości w dni świąteczne. Jakoś tombola powiodła się. Przez dwa dni ciągnęły szeregi pań, gospodyń, kucharek, aby spróbować szczęścia, a chociaż nie wszystkie odchodziły równie zadowolone, doznawszy zawodu fortuny, skutek okazał się dobry, bo przychód był znaczny. Dawniej, dopóki księżna Leonowa Sapieżyna, mieszkająca stale we Lwowie czuwała nad tutejszemi instytucjami dobroczynnymi, po większej części przez nią i za jej staraniem utworzonymi, dochody ich bywały znacznie większe. Księżna bowiem była niezrównaną w pomysłach, dążących do zainteressowania publiczności na rzecz tychże instytucji. Od lat dwóch księżna, przepędzając znaczną część czasu w Krasiczynie, zdała opiekę nad zakładami, których przez lat wiele była troskliwą i zapobiegliwą opiekunką, w ręce pani Namiestnikowej Zaleskiej. Zadanie to wszakże coraz trudniejsze, albowiem to, co dawniej największej miało powab dla publiczności i największe przynosiło dochody, jak festyny ludowe i loterye fantowe, zużyło się już, a przestawszy być nowością, przestało też spodziewane nieść dochody. Filantropia musi być także pomyslową i umieć wyzyskać upodobania a nawet słabości szerokiej publiczności, aby tą drogą trafić do celu. Jakiś czas tombola podobna do tegorocznej będzie, jak się zdaje, dobrym ku temu środkiem.

Korzystając z pobytu we Lwowie, podczas sejmiku, postanowili posłowie Wojciech Dzieduszycki i prof. Stanisław Tarnowski, wraz z professorem uniwersytetu tutejszego Ćwiklińskim, urządzić szereg odczytów na cele dobroczynne. Rozpoczął

je prof. Œwikliński odczytem o staroŹytnoŹciach greckich w Olimpii, Wojciech Dzieduszycki będzie mówił o „Potopie“ Sienkiewicza, a prof. Tarnowski, o Henryku Rzewuskim. Odczyty te będmiały ogromne powodzenie, a o bilety wstępu, dobijają się już dzisiaj ze wszechstron.

Czytelnia kobieca—nie *kassyno*; broń BoŹe, bo za tę nazwę gniewają się nie na żarty nasze panie; otóż *czytelnia* rozwija się w obecnej zimowej porze coraz pomyślniej. Urządzone we własnym pomieszkaniu, mieści się wygodnie, jak na początek. Co piątek odbywają się zgromadzenia liczniejsze, na których bywają odczyty lub dyskusje w rzeczach literackich, pedagogicznych lub historycznych. Gromadzi się tu wiele kobiet, które inaczej nie miałyby sposobności kształcenia się umysłowo przy swych zajęciach powszednich. Tutaj znajdują możność czerpania przystępnym sposobem pożytecznych wiadomości. Główny zastęp uczestniczek czytelnicy składa się z nauczycielek szkół miejscowych i zakładów wychowawczych. Zajmującym był ostatnimi czasy odczyt jednej z uczestniczek czytelnicy o pani de Staël. Czytano też spólnie *Konfederatów Barskich* Mickiewicza, rozdzieliwszy pomiędzy siebie pojeęne role, podobnie jak przy czytanych próbach teatralnych. Piękna deklamacya, zwłaszcza kilku pań, odczytujących główne role, zajęła mocno uwagę licznej gromady słuchaczek, uwydatniając piękność utworu. Obecnie przyrzekli mieć odczyty w czytelnicy: pp. Zygmunt Sawczyński, zastępcą kierownika seminarium pedagogicznego Źeńskiego, prof. Dziedzicki i Lucyan Tatomir. Najlepsi to nasi prelegenci na obranym polu. Sawczyński, doświadczony pedagog, oddający się zawodowi temu od lat blisko czterdziestu, obiera w licznych swych odczytach zawsze przedmioty ściśle związane z praktyką pedagogiczną lub wychowaniem domowym. Dziedzicki i Tatomir, pracujący na polu historycznym, popularyzują wybornie w swych odczytach najważniejsze chwile naszych dziejów i tłumaczą znaczenie tychże na podstawie badań Źródłowych. Z tego sędzić można, Źe tegoroczne odczyty ich w *Czytelnicy kobiecej* odpowiedzą zadaniu.

Z Źalem nasuwa się pod pióro smutna wzmianka o Źmierci księŹdza Waleryana Kalinki, przełoŹonego tutejszego konwentu O.O. Zmarłych-wstańców. Nie tu miejsce wyliczać zasługi ks. Kalinki, jako badacza dziejów, uczonego pisarza, znakomitego publicysty i wzorowego kapłana. Źycie jego i prace w powyŹszych zawodach znane są powszechnie. Literatura poniosła ogromną stratę. Zajęty wykończeniem swego wielkiego dzieła o *Sejmie czteroletnim*, pracował całymi nocami bez wypoczynku, tak, iŹ o godzinie piętej zrana zazwyczaj odkładał pióro. Z takiego nadmiaru natęŹenia umysłowego dostał zapalenia błon mózgowych. W przystępnym przytomności przed Źmiercią rozporządził, aby pogrzebaniem zwłok jego zajęło się Towarzystwo Źw. Źózefa z Arymatei, bez żadnej wystawy i kosztów. Stało się, jak Źądał. Towarzystwo Źw. Źózefa zajęło się pochowaniem zwłok, ale niemniej przeto pogrzeb był świetny obecnością całego kwiatu inteligencji tutejszej, członków akademii, posłów na sejm zgromadzonych i bardzo licznej publiczności, a zarazem tym serdecznym Źalem i cziłą pamięcią zmarłego, którą wszyscy obecni byli przejęci.

Nowy Rok przyniósł nam kilka nowych księŹek, z którymi chciałbym pobieżnie przynajmniej zaznajomić moich czytelników, chociaż dzieło tego rodzaju, jak prof. Roszkowskiego *O konwencji genewskiej*, wymagałoby obszernego naukowego rozbioru, osnutoŹego na zasadach prawa międzynarodowego. Autor, będący od pewnego już lat przeciagu professorem tego przedmiotu na tutejszym uniwersytecie, znany z kilku dzieł poprzednich znakomitej wartości, obrał sobie tym razem Konwencyę Genewską zawartą w r. 1864, w sprawie obchodzenia się z rannymi podczas wojny, za treść szczegółowego studium. Konwencya Genewska tworzy ważną w dziejach społecznego humanitaryzmu epokę, łagodząc srogość wojny, tam przynajmniej, gdzie się to da uczynić, mianowicie przez otoczenie naleŹytą opieką rannych i chorych. Autor, skreśliwszy najpierw cha-

rakterystykę prowadzenia wojny dawniej a dzisiaj, przedstawia postępowanie z rannymi w StaroŹytności i Wiekach Średnich, następnie przechodzi filantropijne pod tym względem usiłowania nowszych czasów; na tem tle szeroko rozwiniętego materiału historycznego podaje genezę, przebieg i treść Konwencji Genewskiej; a nieoprzestając na tem w drugiej części dzieła, podaje szczegółowe postanowienia tejŹe konwencji krytyce przedmiotowej na podstawie doświadczeń zaczerpniętych w następnych wielkich wojnach, austriacko-pruskiej, prusko-francuskiej i ostatniej wschodniej i przedstawia przebieg późniejszych konferencji celem uzupełnienia pierwotnej Konwencji Genewskiej, tudzież wszystkie dające ku temu, podniesione różnemi czasy, wnioski i projekta. Prof. Roszkowski wyczerpał doskonale wszystkie materiały, odnoszące się do obranego przedmiotu, zaznając się z niemi gruntownie i napisał rzecz jasno i wyczerpująco; kogo zajmują kwestye prawa międzynarodowego i kto ocenia gruntowność badań opartych na rozległej erudycji, ten znajdzie w dziele prof. Roszkowskiego umiejętnie opracowany przedmiot, ujęty w całość zajmującej monografii.

Drugiem, zajmującym dziełem, wydanem, jakby na powitanie Nowego Roku są: *Wspomnienia Edwarda Pawłowicza*, dyrektora tutejszego Muzeum Zakładu im. Ossolińskich. Litwin rodem, Pawłowicz ukochoł swe strony rodzinne, dokąd co roku podczas feryj letnich czyni wycieczki, dla odwiedzania rodziny i znajomych, zna je doskonale takimi, jakimi były za czasu jego młodości i później i charakteryzuje wybornie z natury ludzi, czasy i miejsca. A przedmiot tak obfity treścią, nasuwa autorowi mnóstwo zajmujących obrazów, z żywym kreślonym kolorytem. Pawłowicz po ukończeniu studiów artystycznych w Akademii Petersburskiej, a następnie w Rzymie i ParyŹu, wrócił na Litwę i zamieszkał w Nowogródku w r. 1859 i od tego czasu rozpoczyna objęte niniejszem dziełem wspomnienia, doprowadziwszy je do ostatnich czasów pobytu swego we Lwowie. Pamiętnik rozpoczyna się wizerunkiem społeczeństwa litewskiego, jakie młodziemcem jeszcze autor zapamiętał, i którego przeobraŹenie kreśli z ubolewaniem:

„Znikała z wolna, powiada, ze starych dworów dawna prostota, serdeczna uprzejmość, może niekiedy nieco rubaszna, ale za to szczerza, co się nie wysadzała nad stan i nie wiele kosztowała; a jej miejsce zajęły kosztowne przyjęcia, zbytłowne sprzęty, umeblowania, liberye, powozy. Z zapałem lepszej sprawy godnym, przerabiano wygodne i poważne, pełne charakteru i pamiaątek dwory na modne angielskie kotedŹe, włoskie wille. Z Źalem przyszło patrzeć, jak padały odwieczne dęby i lipy starych alei ogrodowych pod siekierą nowomodnych ogrodników, którzy je uprzętałi dla angielskich parków. Ale nikt się temu nowoŹytnemu wandalizmowi opierać nie śmiał, bo tak było u hr. X., u księcia Z. i t. d. Jednem słowem epoka ta wprowadzenia komfortu, szyku i zbytku, zmieniła do niepoznania fizioŹnomię kraju!”

Po takim wstępie rozstrnuwa autor obrazy Litwy nowoczesnej i maluje szczegółowo wszystkie tamtejsze stosunki, a następnie swe podróŹe, stały pobyt w Warszawie i przesiedlenie się do Galicji. Wszystko to złoŹyło się na grubą księŹkę, pisaną żywo, można powiedzieć krwią z pod serca, zawierającą mnóstwo uwag trafnych, ważnych spostrzeŹeń, w duchu tendencji szlachetnych i postępowych. *Wspomnienia* czytają się z zajęciem i pozostawiają siew zdrowy w umyśle czytelnika.

Nakoniec mamy świeŹo wydaną grubą księŹkę o tysiącu blisko stronnicach: *Franciszek Smolka, jego Źycie i zawód publiczny*, skreślił Karol Widman. Monografia niniejsza obejmuje okres od r. 1810 do 1849. W zapowiedzianym przez autora następnym tomie ma być doprowadzona do najnowszych czasów. KsięŹka atoli niniejsza stanowi sama w sobie całość obejmującą okres działalności politycznej i parlamentarnej Smolki, zamknięty w sobie i niemający ściśłego związku z okresem następnym, przeciagu lat kilkunastu oddzielony od późniejszego wystąpienia ponownie za widownię parlamentarną. Wiadomo,

Źe działanie Smolki wiąŹe się ściśle od najdawniejszych czasów z Źyciem publicznym w Galicji; Źe był on zawsze czynnym tegoŹ uczestnikiem, a w znacznej teŹ części i kierownikiem. Źądł ta obfitość treści, to bogactwo materiałów, służących Widmanowi do przedstawienia zamierzonego przedmiotu. Z Źywotem i działalnością Smolki wiąŹe on bowiem, naturalnym rzeczy wynikiem, obraz całego przebiegu spraw publicznych w Galicji, w epoce najciekawszej. W roku 1848 Smolka, obrany posłem na sejm Rzeszy Rakuskiej, mający ułoŹyć konstytucyę dla monarchii, zajął wnet krzesło prezydyalne i przewodniczył konstituancie austriackiej podczas chwil najkrytyczniejszych i całego przebiegu rewolucyjnych wypadków wiedeńskich, następnie zaś w KromierzyŹu, po przeniesieniu tamŹe obrad parlamentu. Widman kreśli tedy na podstawie autentycznych Źródeł, uzupełnionych opowiadaniem samego Smolki cały przebieg czynności parlamentu pod przewodnictwem Smolki dokonanych, jako teŹ obraz wszystkich przejść ówczesnych. Za materiał słuŹyły mu pomiędzy innemi głównie listy Smolki pisane codziennie z Wiednia i KromierzyŹa do Źony, w celu poznaŹomienia przyjaciół politycznych i osobistych we Lwowie za pośrednictwem tych listów o istotnym stanie rzeczy, o przebiegu obrad parlamentarnych i o wszystkich ważniejszych zdarzeniach społecznych. Listy te, pisane pod wrażeniem chwili, dają wyborną charakterystykę ówczesnych dziełań i zapatrywań; skutkiem czego dzieło Widmana posiada świeŹość kolorytu i wagę społecznego Źwiadectwa, przez co staje się bardzo zajmującym i ciekawem i słuŹyć może do sprostowania wielu niedokładnych wiadomości lub mylnych na epokę tamtą poglądów. Znajduje się tu wiele rzeczy, dzisiaj już mgłą niepamięci przysłonionych, o których nigdzie indziej nie znaleŹlibyśmy autentycznej wiadomości. Za wygrzebanie ich i wyjaśnienie naleŹy się wdzięczność autorowi.

Pani Felicja z Wasilewskich Boberska, która, od lat kilku usunawszy się od zawodu pedagogicznego, przeniosła się na wieś dla pielęŹnowania ciężką chroniczną chorobą złoŹonego meŹa, nie wyrzekła się przeto pióra, i na wieczorku poświęconym pamięci Mickiewicza w rocznicę jego Źmierci miała piękny odczyt w sąsiednim miasteczku Radziechowie, wobec licznie zgromadzonej inteligencji miejscowej i okolicznej, który to odczyt obecnie dopiero został drukiem ogłoszony. Zastanawia się w nim prelegentka nie tyle nad znanymi powszechnie szczegółami Źycia poety, jak raczej nad całą epoką w literaturze, stworzoną przez Mickiewicza i jej następstwami. Dla czytelnika, znuŹonego jałowemi rozbiórami pism Mickiewicza, których się coraz więcej mnoŹąc ostatnimi czasy, drobiaŹgowością swą, a często niedorzecznością uwag przeŹciągają się wzajem, jest odczyt p. Boberskiej prawdziwym wytchnieniem i orŹeŹwieniem ducha. Nie ogranicza się ona na ściśle literackim poglądzie, ale korzysta z kaŹdej sposobności, aby wyciągnąć praktyczną, odnoszącą się do stosunków społecznych naukę, a główna myśl pięknej tej pracy dałaby się najwłaściwiej streścić słowami prelegentki:

„Jest w nas jakaś cząstka BoŹa, która nie doŹwala nam poprzestać na Źwierzęcej strawie, choćby najobfitszej i najwytworniejszej.”

Zawiazuje się tu i w Krakowie towarzystwo pań, mające się zaopiekować krajowym przemysłem domowym. W Krakowie na czele Towarzystwa stanęła księŹniczka Helena Sanguszkówna; we Lwowie księŹna Adamowa SapieŹyna. Popieranie przemysłu krajowego zdaje się rzecz tak naturalną i przemawiającą sama za siebie, iŹ nie powinnoŹy wymagać zawiązywania umysłowych w tym celu towarzystw, bo kaŹdy winienby sam poczuwać się do przyłoŹenia się ku temu. Ale u nas, podobnie jak wszędzie na Źwiecie, do wszystkiego potrzeba zachęty i dobrego przykładu. Skoro początek zrobiony, towarzystwo rozwinie się z pewnością pomyślnie, zwłaszcza pod kierunkiem gorliwych, na czele stojących oręŹowniczek. Wieczorki welniane zyskały już u nas prawo obywatelstwa. Jest to krok na polu oszczędności i gospodarstwa domowego, dobrze

wróżący na przyszłość. Poprzestawanie, ile możliwości, na użyciu wyrobów krajowych, we wszystkich gałęziach gospodarskich, tak w kole rodzin-
nem, jak w szerszych kołach towarzyskich krze-
wione przez nowozawiające się towarzystwo,
wyda z czasem obfite pod każdym względem ko-
rzyści.

Władysław Zawadzki.

Kronika działalności kobiecej.

— W dniu 15 Stycznia r. b. otwartą została przez p. Ludwika Wiesiołowskiego szkoła kobieca rysunku i malarstwa. Mieści się ona na Krakowskim-Przedmieściu w gmachu Resursy Obywatelskiej, w dawnej pracowni Lessera i obejmuje dwie obszerne sale, z których pierwsza stanowi szkołę właściwą, druga, będąca pracownią nauczyciela, jest składem akcesoriów artystycznych. Nauka rysunku odbywa się z wyjątkiem świąt, codziennie od godziny 4-ej do 6-tej po południu, lekcje malarstwa trzy razy tygodniowo, rano od 11-tej do 2-giej z południa. Programmat szkoły obejmuje w dodatku wykłady estetyki, historii sztuki i tym podobnych przedmiotów, zostających w związku z malarstwem, co jednak nastąpi po ostatecznem już urządzeniu się szkoły i przy odpowiedniej liczbie uczęszczających do niej. Obecnie nauka malowania liczy uczennice trzy, rysunku kilkanaście osób. Uczące się malarstwa, korzystają i z nauki rysunku. Donosiliśmy w swoim czasie, że szkoła jest dobrze zaopatrzona w modele i ma odpowiednio urządzone oświetlenie, potrzebne przy wieczornych lekcjach rysunku.

— Tak znaczna liczba kobiet, pragnących kształcić się w rysunku, ciśnie się do sal rysunkowych w Muzeum Przemysłu (Krako.-Przedmieście), że sale zaczynają się przepełniać. Czy nie możnaby pomyśleć o rozszerzeniu miejsca tej wysoce w kierunku artystycznie-przemysłowym pożytecznej instytucji?

— Muzeum Przemysłowe urządzi w roku bieżącym dwie wystawy: przemysłu tkackiego i przemysłowych roślin rolniczych. W pierwszej z nich jest miejsce ogromne dla okazów pracy kobiecej. Tkaćstwo ręczne od wieków zostające w ręku kobiety, ma i mieć zawsze będzie znakomite zastosowanie w domowym użyciu rodzin średnio zamożnych. Przy dzisiejszych czasach przesilenia rolniczego ten przemysł kobiety może się stać najpierw ważną gałęzią oszczędności rodzinnej, a dalej pomnożonych dochodów. Mocne płótna domowego wyrobu zawsze będą mieć odbyć. Że obecnie nie dostarcza go miastom kobieta nasza — w ilości dostatecznej poświadczają to sklepy z wyrobami obcemi, które mieszczą tak płótna w sztukach, jak ręczniki, ściereki i worki. Wyroby te znajdują wielki pokup, więc ceny płócien naszych trzeba odpowiednio do tej konkurencji normować. Nie byłaby się wytworzyła, gdyby miejsce nie było opróżnione, ale przypuszczać można, a nawet twierdzić na pewne, że wyrób miejscowy znajdowałby zawsze pierwszeństwo, jeżeli droższym nie będzie. Ale to jest plagą naszego domowego przemysłu, że tanio produkować nie umie. Praca nasza wydaje nam się rzeczą tak szacowną, że cenimy sobie drogo zajęcie wszelkie i uważamy, że dla małego zysku nie opłaci się pracować. Czy rdzeń tego nie tkwi czasem

w dawnej bucie, która się jeszcze gdzieś na dnie naszej istoty kryje? — Lecz kto nie może czasu swego drożej spożytkować, musi pod karą marnego wegetowania, pod karą nieużytecznego, pasywnego istnienia robić, co można i jak można. A mamy na to maxymę starej mądrości, że lepszy rydz, niż nic.

— Księżniczka Helena Sanguszkówna powzięła pocziw, obywatelską myśl, aby kobiety, którym pomyślność ogółu swego na sercu leży, wzięły w opiekę przemysł krajowy. Grono pań krakowskich zostało przez nią wezwane do narady, w tym przedmiocie, a wnioskiem pierwszym, który przez ten komitet pań jednoznacznie został przyjęty, w postanowienie jego zaraz się zamienił, jest, aby do najściślejszej możliwości wszystkie domowe potrzeby rodzin zaspokajane były przez wyroby krajowe. W tym celu komitet wszedł w bezpośredni stosunek z krakowskim bazarem wyrobów krajowych i w porozumieniu z nim działa stale. Te zanie panie dobrej woli obywatelskiej, są, oprócz inicjatorki: Antoniewiczowa Stanisława, Chlebowska Ksawera, Gralewska Fortunatowa, Hallerowa Lucyna, Homolaczowa Felicja, Jakubowska Faustynowa, Kasperek Franciszkowa, Kierzkowska Czesława, Lisowska Władysława, księżna Lubomirska Cecylia, Lutostańska Bolesława, marszałkowa Mileska Alfredowa, hr. Potocka Antoniowa, hr. Potocka Stanisława, prof. Rosnerowa, Straszewska Maurycowa, Szajnochowa Władysława, prezydentowa Szlachetowska, hr. Tarnowska Janowa, hr. Wodzicka Antoniowa, profes: Zakrzewska — licząc to jest zatem jak na początek zatem grono 22 pań, którem niech Bóg płaci cześć narodową. Każda z nich powiedzieć sobie może: „Służmy pocziwej sprawie, a jako kto może do ogólnego dobra niechaj dopomoże“...

— Jest dobry uczynek nie małego znaczenia, czekający u nas ręki kobiecej, któraby się do niego przyłożyła, a mianowicie *szkoła sług*. Nie chodzi tu o taką niedzielną szkołę sług, jaka u nas przed kilku laty została otworzona i pożyteczne swe istnienie wkrótce zakończyła — szkołę, w którejby służąca pobierać mogły elementarną naukę: czytania, pisanie, rachunku, ale szkoła zawodowa, uzdalniająca do umiejętnego wykonywania obowiązków pracy, w służbie podejmowanej. Za pośrednictwem dyrektora War. Szkoły Rzemiosł, p. Kühna, który w naukowych celach szkoły podróż po Szwecji odbył, miasto nasze otrzymało wiadomość o wypróbowanej już tam szkole sług w mieście Göteborgu. W obszernym, wśród ogrodu położonym domu mieści się zakład, wzniesiony na akcy, a kształcący w trzech oddziałach: kucharki, pokojówki i praczki. Szkoła kucharstwa złożona jest z dwóch obszer-
nych, widnych, dobrą wentylacją opatrzonych izb; w pierwszej przygotowują się pod oczyma i za współudziałem uczennic wszystkie potrawy, które w drugiej izbie gotują się, pieką lub smażą. Dodać trzeba, że szkoła posługuje się tu wszelkiego rodzaju nowymi przyrządami kuchennymi, które pracy ręcznej dopomagają i trudu jej ujmują.

Podobnie urządzona jest pralnia, suszarnia, maglarnia. Uczennice, nietylko wprawiają się tu w samą mechaniczną pracę prania, ale obznajm-
iają się z użyciem wszelkich, pracę tę ułatwiających środków, używania nieszkodliwych przetworów chemicznych, przyczem cały proces oczyszczania bielizny jest im na zasadzie nauki objaśniany tak, aby następnie mogły pracę swoją pełnić najlepiej i najracjonalniej. W dodatku każda obznajomiona zostaje ze sposobem dezynfekcji bielizny osób chorych.

Pokojówki uczą się szyć, cerować, czesać, czy-

ścić suknie i wykwiłtne przedmioty ubioru kobiecego, także utrzymywać w porządku i przechowywać odzież rozmaitego gatunku, jedwabną, wełnianą, porządkować pokoje. Przytem kucharki, praczki, pokojówki wyższego i niższego stopnia uczą się wszystkie bez wyjątku higieny domowej, która daje im wiadomość, jak zdrowie ludzkie może uciepnieć przez brak czystości, przez źle przyrządzone i w złych gatunkach pokarm, brak należytego przewietrzania mieszkania, zaciężenie, swędy. Ponieważ przyjmują się do szkoły dziewczęta, które najmniej mają lat sześćnaście i takie, które już skończyły obowiązującą szkołę ludową, są one zatem umysłowo przygotowane do uczenia się obowiązków służby w warunkach podobnych.

Prócz tych uczennic z ludu szkoła przyjmuje do zakładu panny, czy panie z klas zamożniejszych na czas od trzech do sześciu miesięcy dla wyuczenia się wszystkiego w teorii i w praktyce, co potrzebnem jest gospodyni domu, aby wiedziała, jak i co się przyrządza, a zarazem ile czego wydać należy? Te uczennice mogą być przychodnie, lub znaleźć pomieszczenie w zakładzie, gdzie znajdują się na ten cel wygodnie, lecz bez zbytecznego wykwiłtu, urządzone pokoje.

Zakład zaleca się jeszcze tą stroną filantropijną, że po bardzo umiarkowanej cenie, a często zupełnie bezinteresownie, stołuje uczącą się młodzież i wysła zamówione obiady do domów. Także przyjmuje w podobny sposób pranie i reperacye bielizny. Ale nad to wszystko największą zasługą zakładu jest to, że w uczennicy umoralnia przyszłą służącą, bo znająca dobrze obowiązki dziewczyna mniej jest łajaną, więc mniej przykro odczuwa położenia swojego podległość, nie tak się czuje od losu upośledzoną, mogąc pracować lepiej. Pracuje też chętniej, ma sama wyższe osobistej swej godności poczucie i w innych budzi je również. Szkoła w Göteborgu cieszy się wielkiem uznaniem całego kraju i nieraz otrzymuje dary lub legaty dobroczynne, co właśnie miało miejsce niedawno. Przez zapis testamentowy, została obdarowana znacznem już mieniem 100,000 koron; wykształciła już 220 uczniwych i do zawodu swego dobrze uzdolnionych sług i z pomiędzy jej uczennic dwie tylko poszły krzywą drogą. — Światła! więcej światła! wołać trzeba, jak umierający poeta, a świat będzie lepszy i szczęśliwszy.

— W Berlinie Stowarzyszenie Gospodyń ma podobnie szkołę gotowania połączoną z taniem stołowaniem pracujących kobiet, oraz z przyjmowaniem zamówień na obiady lub wieczery na miasto wysyłane. Ale obok tego towarzystwo używa jeszcze prostszego sposobu kształcenia dobrych sług, kucharek, pokojówek, nianek: oddaje je na naukę do domów dobrych gospodyń i pań rozumnych, czuwając przytem nad nimi, troszcząc się o ich obyczaje i religijność.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika.

TREŚĆ: Anna Jagiellonka królowa polska, opowiadanie historyczne, przez Maryana Dubieckiego. — Jan Matejko, charakterystyka, (dalszy ciąg), przez St. Krzemińskiego. — Annabel Lee, poezja, przez Miriamę. — Zabiegi pana Piotra, powieść (dalszy ciąg), przez Sewera. — Notatki pedagogiczne, przez M. Ilnicką. — Trzy miłości Szopena, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Korrespondencya zagraniczna, Lwów. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 11-ty powieści pod tytułem: **Ostatni Batory**, przez Mikołaja Josika. — Przegląd mód. — 32 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Дозволено Цензурою. — Варшава, 14 Января 1887 года.

PRZEGLĄD MÓD.

Zbytek i bieda. — Nowy magazyn pani Lardenoy. — Lisy niebieskie jako obłożenie okryć balowych. — Słowno o kostiumach na bal kostiumowy.

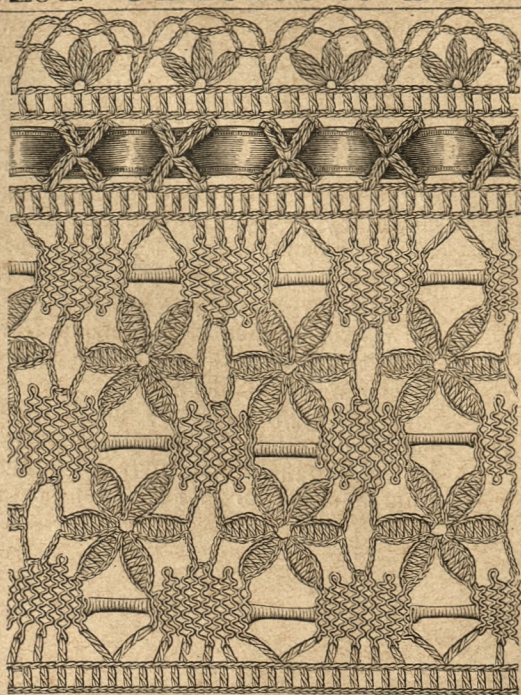
Ludzie skarżą się na biedę, handel na stagnacyę, a jednak w tualietach kobiet zbytek dochodzi do zenitu. Paryż daje nam początek i wzór, ale tam zbierają z całego świata ci, którzy chcą użyć i nadużyć życia, wielomilionowi Amerykanie, lecz i do nas dostaje się ta zaraza i są jednak u nas tacy, co kupują te wykwinty, skoro otwierają się coraz to nowe magazyny, na przykład: magazyn p. Klaryssy Lardenoy, przy ulicy Mazowieckiej, dom Krasińskich. Paryżanka, chce na paryzki sposób go prowadzić, sprowadzając rzeczy oryginalne. Widziałam tam kapelusze znanej paryzkiej firmy „Virot“, z których dwa były kształtu koguciego grzebienia, jeden cały z dżetu, drugi z brązowego pluszu. Fason to wielce oryginalny.

Widzieliśmy też ogromne pudła eleganckich ubrań na głowę, tak lekkich i małych, że wyglądają więcej na cacka, niż strój jakiś. Na przykład: kokardka i piórko, dwa liście i egretka — słowem coś takiego, co prawie można nazwać niczem, ale dziś moda wymaga, aby tak młodsze jak starsze mężatki, przystrajały głowy w takie ubranka, które upięciu włosów i całości tualety odpowiadać powinny.

Obok strojów pokazywano nam we wspomnianym magazynie modele sukien. Jeden był kostium, więc naturalnie tylko sięgający ziemi, czarny koronkowy — cała draperya wszystko koronkowe; jedna z draperyi tylnych przypinała się dużą kokardą na stanik, dwa boki były z materiału dżetowego na gazie — dżet to był podłużny —



Nr 1. Chusteczka z krepki i koronki.



Nr 3. Część karczka do ryc. 4 szydełkową robotą i fabrycznym szlaczkiem. Wielkość naturalna.



Nr 2. Chusteczka z koronki i wstążki.



Nr 4. Karczek do koszuli szydeł. i fabrycznym szlaczkiem. (Do ryc. 3).

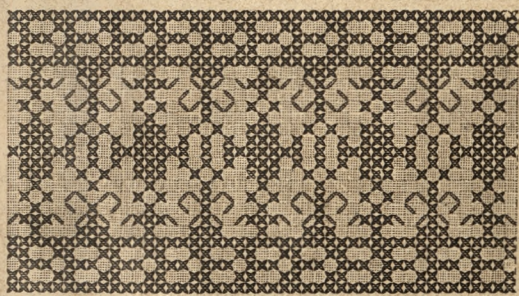
Nr 5 i 6. Kołnierzyk i mankiet sukieny.

czarny z odbłaskiem popielatym, na staniku przody i plecy dżetowe, pokryte koronką — całość była pełną wdzięku. Drugi ze stalowego koloru faille, całym upięciem i połączeniem z welnianym w adamaszkowy deseń przerabianym materiałem, wyróżniał się odrębnością układu pełną fantazyą, cały przybrany był bogatą pasmanterią z dżetem w kolorze sukni.

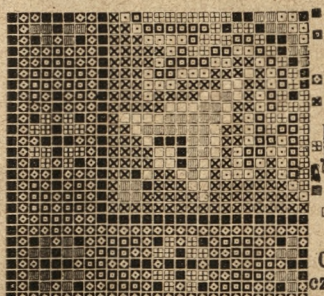
Piszą nam z Paryża, że tego roku nowością tam są lisy niebieskie, tak rzadkie jeszcze niedawno, które zdobi się dziś bogate wizytowe okrycia lub zarzutki balowe, a eleganci paryżkie prześcigają się, aby choć coś mieć obłożone takimi lisami. Rzeczywiście to futro ze swym lekkim puchem, miejscami różowawo lub niebieskawo-popielatym odcieniem, jest bardzo ładne i pięknie zdobi każdy przedmiot. Na przykład: przy okryciu pluszowym koloru pomarańczy lub płomieni ognia, coś może być więcej majestatycznego, jak lisy niebieskie, z dodaniem złotej pasmanterii na ramionach?

Na głowę do wyjścia z teatru lub balu, zawsze noszą się kaputki „à la paysanne“, z czarnej lub białej koronki, na jasnej surah, wiązane na wstążki, śliczne to i do twarzy każdemu.

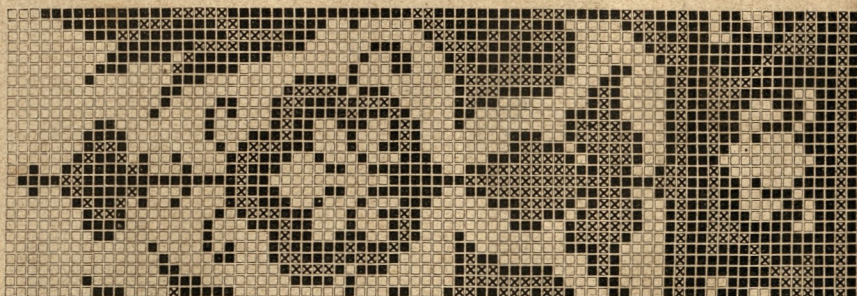
Nie łatwym jest na bal kostiumowy wybór kostiumu, jeżeli pragniemy, aby łączył w sobie wdzięk i elegancję, był trzymany w stylu szlachetnym i nie zniżał się z prawdą, jeżeli jest historyczny, lub narodowy, rodzajowy wreszcie, czy z czasów dzisiejszych, czy z epoki dawniejszej. Kostium historyczny i narodowy, daje się łatwiej przy prawdzie utrzymać, gdyż odpowiednie ryciny dostarczają wzorów, ale tu trzeba jeszcze mieć na względzie, aby wybór nasz nie przedstawiał rzeczy zbyt opatrzonych i spowszedniałych. Do kategorii takich kostiumów, należą wszelkie przebrania za włoszki, greczyńki, tureczyńki, hiszpanki i jakkol-



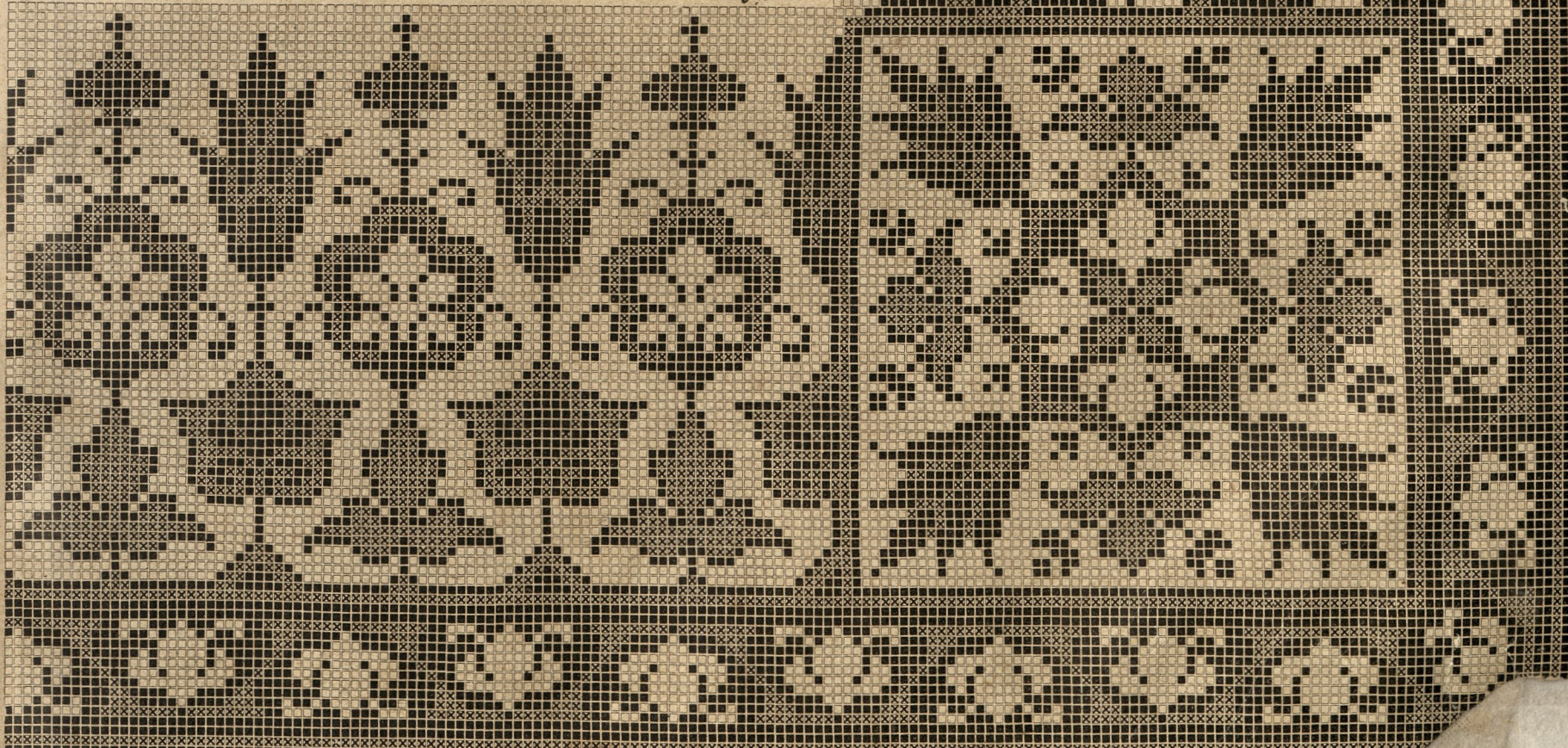
Nr 7. Szlak do serwet i t. p. krzyż. i Holb. robotą.



Nr 8. Czwarta część deseni do ryc. 22.



Nr 9. Szlak nareżny do ryc. 21 w Bl. Nr 3 krzyżową robotą.





Plecy. Nr 12 i 13. Ubranie dla chłopczyków od 4 do 6 lat. Przód.
Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18—28.

wiek stroje te są malownicze, spospolitowały się już niezmiernie, a nowość i niepowszedność wiele znaczy w ubraniu, podnosząc nawet wdzięk osoby samej i świadcząc o jej wybredniejszym guście. Ale obok kostiumów historycznych, można wybierać sobie między kostiumami w stylu epok, cechujących się oryginalną charakterystyką, jak na przykład braci z epoki „Odrodzenia“, z epoki „Rococo“. Co do postaci historycznych, należy też unikać zbyt już znanych jak na przykład Marya Stuart, Elżbieta angielska. Z naszych możemy mieć bardzo piękny ko-



balowej sukni. Opis odwr. str. tabl.

stium, przedstawiając się jako Jadwiga, Barbara Radziwiłłówna, Katarzyna Jagiellonka już w stroju szwedzkim, Bona Zygmuntowa. Można też mieć bardzo wdzięczne przebranie, uciekając się do kostiumów z dziejów sztuki i nie wdzięczniejszego, jak córka Tycjana, Lawinia, do której wzór znaleźć można w tomie III „Muzeum Sztuki Europejskiej“, ładny też i jeszcze oryginalniejszy kostium przedstawia córka Rembrandta, żona Rembrandta, wzory także w tem samym dziele, w tomie pierwszym.

Fantazyjne postacie alegoryczne, bardzo dobrze się tu nadają, byle tylko fantazyjność ich była elegancka i nie uciekała do zbyt znanych postaci



Nr 18. Ubranie charakterystyczne „Cyganka“.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 49—51.

kostium, nie tylko zimy, ale wiosny, lata lub jesieni.

Charakterystyka kwiatów może również dobrze tu służyć, a przez zbliżenie kostiumu do zwykłych strojów balowych lub wieczorowych, być oszczędniejszą, niż inne przebrania. Konwalie, bratki, fiołki i t. p. kwiaty pól, łąk, lasów lub ogrodów, bardzo wdzięcznie się do tego nadają; białe tarlatan naszyty liśćmi obranej rośliny, wyciętymi z zielonej materii, niech tworzy spódniczkę, stanik, który przedstawia kielich, czy koronę kwiatu, powinien być jakgdyby jednym tegoż kwiatu bukietem i tak dalej, cały ubiór, na obrany kwiat przedstawiać.

Przy dobrym guście, powtarzamy raz jeszcze, bo bez dobrego gustu nic w dziedzinie ubrania ładnego być nie może — przy pewnej pomysłowości, bardzo to ładnie wygląda, ma się rozumieć dla osób zupełnie młodych, szczególnie jeżeli ubiór przedstawia kwiat wiosenny. Na przykład fiołek, choć zwykle noszą go właśnie panie, już przechodzące granice tych lat, w których kwiat zdobi dobrze i podwyższa naturalny wdzięk urody, na użytek takiego przebrania, może jedynie służyć młodzieńczej jak wiosna pannie. Astry zaś, lub tym podobne im kwiaty, użyte być mogą przez mężatki, dla których wiosennosc byłaby już w stroju śmieszna. Charakter kwiatu mniej lub więcej pyszny i świetny, też wiele tu znaczy i powinien odpowiadać charakterowi urody tej, która go sobie obiera.



Nr 10. Kapturek robotą szydełkową.



Nr 16 i 17. Przybranie z kwiatów do balowej sukni.

jak nocy, poranku, czterech pór roku, choć bardzo ładne efekta można zawsze otrzymywać przy tych właśnie często już używanych przebraniach alegorycznych. Na przykład zima, w upodrobionych włosach, w matowych białych obsłonach, na przykład z krepy, którąby miękkością swych drapeży przedstawiała śnieg, z dodatkami niby lodowych odbłyśków z białych dzetów, czeskiego szkła — gdzie można brylantów, kto je posiada, choćby sztucznych, które, mówiąc nawiasem, bywają dziś takie, że znawcy nie prędko odróżnią fałsz od prawdy. Ponieważ w naturze nigdy się te rzeczy nie prze-
starzają, więc przy dobrym guście i pewnej jego oryginalności, można tu stworzyć sobie ładny



Nr 11. Czepeczek do teatru dla starszych pań.
Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 61.



Nr 19. Ubranie charakterystyczne „Nietoperz“.
Opis pierw. str. tabl.

Serwetka krzyżową robotą.

Rycina Nr 21 w Bl. Nr 3.

Serweta haftowana na grubej lnianej tkaninie łatwo podzielnej, zakończona z brzegów wiązaną frendzlą. Rycina 7 przedstawia czwartą część środkowej gwiazdy, którą należy wykonać brązową w dwóch cieniach bawełną, nie puszczającą koloru w praniu. Rycina 9 w niniejszym numerze daje wzór haftu na szlak, który należy rozpocząć na 20 cent. od brzegu, poczem 15 cent. tkaniny należy wysiepać z pozostałych zaś przeciwnych nitek wiązać frendzlę podług ryciny, w dwa rzędy supełków.

Ząb do koszyków lub t. p. przedmiotów płaskim, gałązkowym, pocztowym i rybiej łuszczy ściegiem.

Rycina Nr 24 w Blu. Nr 3.

Ząb wykonany różno-kolorową włóczką i złotym sznureczkiem, na suknie lub brązowej biał. Kontury dolnej części arabesków, obwiedzione są poczworną nitką włóczki piaskowego koloru, przeszywanej w odstępie trzy-czwarte cent. brązowym jedwabiem, następnie zaś sznureczkiem ze złotej przędzy i czarnego jedwabiu. Środek pojedynczych figur zapelnąć zieloną, pasową, niebieską i brązową włóczką w kilku cieniach, poczem niepotrzebne tło między konturami wyciąć podług ryciny. Brzeg zęba może być wycięty równo, lub wyrzućny foremką w drobne ząbki.

Przy rodzajowych kostiumach bardzo trzeba tego pilnować, aby nie popaść w trywialność, a nawet nie przystojność, jak na przykład opięty kostium kominiarczyka, który przez pewne złego smaku Niemki, bywał w Berlinie użyty. Góralczyk ze swoją buntą na ramiona i zarzuconą, może stanowić ładny, sympatyczny kostium.

Owady, podobnie jak kwiaty, mogą służyć do ładnego charakteryzowania się. Na przykład: motyl, ze skrzydłkami u ramion, ze stanikiem barwy ciemnej — aksamitnym, błyszczącymi, drobnymi blaszkami gęsto naszytym, ze spódniczką podobnie barwistą — bardzo, to ładny kostium. Matki dzisiejszych panien pamiętają, jak w Warszawie kostium mało baczący na względy dziewiczej skromności, rozdzielił narzeczoną już parę. Panna ubrała się za dziką Indyankę. Nóżki od kolan



Przód. Nr 14 i 15. Ubranie dla chłopczyka od 6 do 8 lat. Plecy.
Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 39 — 48.

Chusteczka z krepy i koronki.

Rycina Nr 1.

Na chusteczkę ukroić z białego tiulu część 33 cent. długą, u góry 12, u dołu 2 cent. szeroką i pokryć białą krepą w plisy ułożoną, następnie na wykrój szyi wyciąć 2 cent. od środka, przodu ku brzegom, wszyć w opaskę 41 cent. obwodu mającą, pokrytą plisowaną koronką, 6 cent. szeroką. Brzegi przybrać koronką zeszytą w środku i ułożoną w dwie pliski, dół zaś stanowią dwa końce koronki 9 i pół cent. szerokiej, każdy 50 centim.



Nr 21. Stanik do balowej sukni. Opis odwr. str. tabl.

dlugi, zmarszczone i umieszczone jeden na drugim podług ryciny.

Kołnierzyk żabotowy z wstążki i koronki.

Rycina Nr 2.

Na kołnierzyk zapinany z tyłu potrzeba dwa kawałki 21 cent. długie różowej wstążki z pikotami, 7 c. szerokiej. Wyłożywszy kołnierzyk z tyłu na 2 cent., z przodu odwinąwszy go w dwa dość długie różki, należy pokryć takowy z tyłu gładko białą koronką która na odwiniętych różkach powinna spadać w formie wachlarzów. Zeszyta we dwoje koronka 15 cent. szeroka, tworzy rodzaj żabota, kokardka z wstążki i broszka stalowa, uzupełnia całość.

Kołnierzyk i mankiety sukienne.

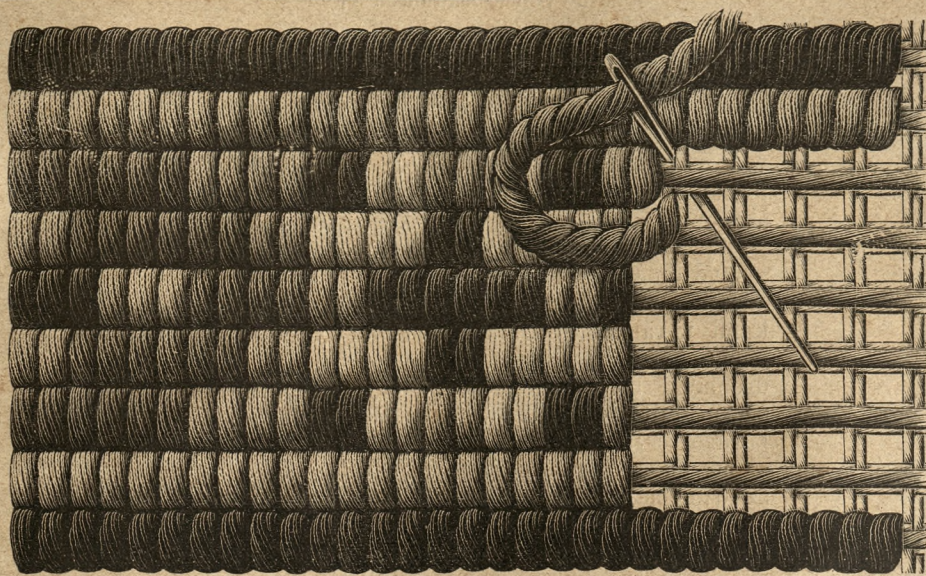
Rycina Nr 5 i 6.

Stojący kołnierzyk 39 centim. obwodu mający, a 4 c. szeroki, złożony z dwóch pasków sukna wyciętego w zęby, wierzchni koloru piaskowego, następny granatowego. Mankiet 23 c. szeroki, zastosowany jest do kołnierzyka.

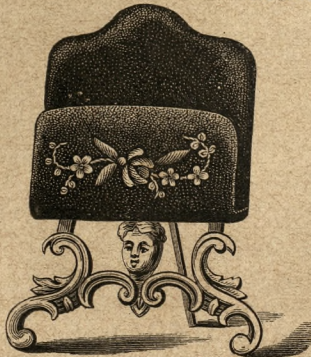
Ubranie dla chłopczyka od 4 do 6 lat.

Rycina Nr 12 i 13. Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 18-28.

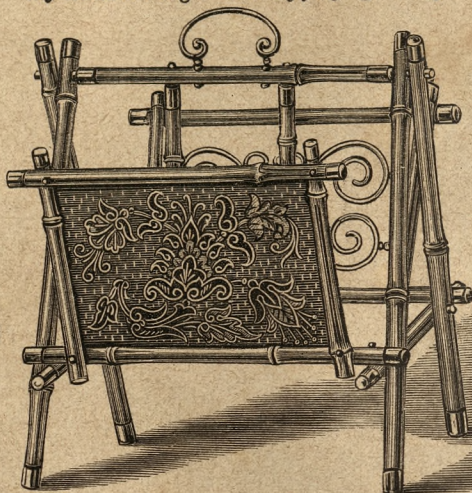
Na to ubranie z szafirowego sukienka, ukroić podług fig. 18 i 19 po dwie części na podszewce perkalowej, poczem zeszyć każdą przednią połowę majtek z tylną od liczby 41 do 42 i od liczby 43 do 44, oraz obie przednie połowy od liczby 44 do 45 i od liczby 46 do 47 i obie tylne od liczby 44 do 48, następnie dolny brzeg majtek należy założyć i ściągnąć na elastykę, w pozostałe zaś rozporki boczne wszyć kieszonki, wreszcie tylną połowę majteczek wszyć w podwójny pasek, 4 cent. szeroki, zaopatrzone w dziurki do przypinania na staniczku. Na ten ostatni ukroić z sukna i podszewki podług fig. 20, oraz z samej podszewki podług fig. 21 po dwie części, a połączywszy części podług znaków, przymocować z boków i z tyłu odpowiednie guziki, zaś przód majteczek przyszyć do staniczka od liczby



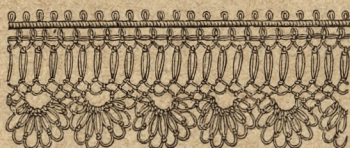
Nr 22. Wykonanie ściegu naśladowego gobeliny. (Do ryc. 8).



Nr 23. Postumencik do bileto-w wizytowych.



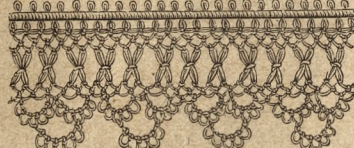
Nr 24. Papierośnica z haftem.



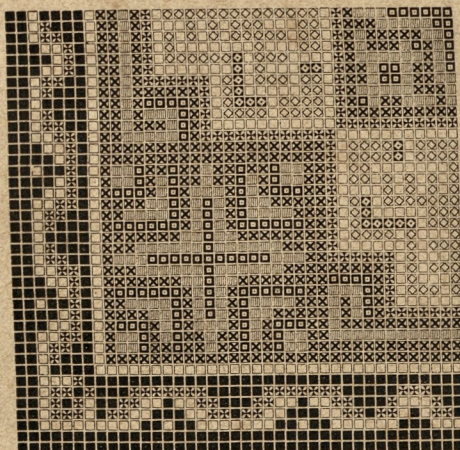
Nr 26. Koronka szyta.

Nr 25. Postument na gazety.

47 do 54, poczem przybrać przód marszczoną kamizelką z pasowego fularu układając ją z każdej strony w 2 głębokie na $4\frac{1}{2}$ c. fałdy; kamizelka zmarszczona do 8 c. u góry, a do 20 cent. u dołu, przyszywa się podług linii na formie staniczka oznaczonych. Kurtkę ukrojoną z szafirowego sukna i satinetowej podszewki tegoż koloru, zeszyć podług znaków, poczem przyszyć kołnierzyk; rękawy w szyć

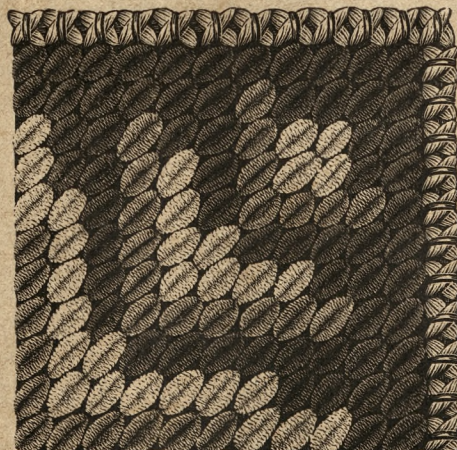


Nr 27. Koronka szyta.



■ pierw. (najciem.), ■ drugi, ■ trzeci (najjaśn.)
■ brązowy, ■ ciemno-pasowy, ■ jasno-pasowy,
■ ciemno-niebieski, ■ jasno-niebieski, ■ szary
(ostatni jedwab').

Nr 28. Czwarła część haftu do ryc. 30.



Nr 29. Część haftu do ryc. 30. Wielkość naturalna.



w pachy, trafiając liczbą 65 rękaw na takąż liczbę przodów.

Przepisy gospodarskie

Purée z kasztanów.

Do wszelkiego pieczonego drobiu lub do ozoru, solonego na gorąco podaje się purée z kasztanów, które się robi w następujący sposób. Na 6 do 8 osób ugotować funt kasztanów bez nadkrawania (staroświeczyna), bo nadkrawane wodą nasiakają — jak kartofle — gdy za spróbowaniem jednego są miękkie, odlać i obierać natychmiast póki gorące, przykrywając serwetą nie obrane, żeby nie stygły. Po obraniu połupać na kawałki i gotować w mleku prosto od krowy mieszając ciągle, aby do rondla nie przywarły — gdy zupełnie zmiękną przetrzeć przez rzadkie sito, wyspać łyżkę cukru miłego i odrobinę soli. W rondel włożyć ćwierć funta bardzo dobrego młodego masła postawić zdaleka od ognia, na ciepłej blasze włożyć, przetarte kasztany wymieszać przykryć i wstawić albo w drugi rondel z gorącą wodą, aby się grzały „au bain marie“, albo wreszcie trzymać rondel nad parą garnka z gorącą wodą — aby się broń boże nie smarzyły, tylko trzymały w jednakowej gorącej temperaturze.

L. C

Obiad na Niedzielę.

1. Purée ze zwierzyny.
2. Sandacz z białym sosem.
3. Kotlety cielece z groszkiem.
4. Indyczka z kasztanami.
5. Toreik z jabłek.

U W A G A.

Opis ryciny Nr 22 do 28 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krajów, dołączonej do 3 numeru.

